

Akt 11: Mleko tylko dla Żrebiąt

9 kwietnia 1272

Las Oliv, Oakmill Town, 70 km od Fillydelphii

13:30

Olśniło ją! Po tylu dniach myślenia w końcu wiedziała, co zrobić! Czy to zasługa refleksji, czy dziwnych snów z ostatnich nocy... tego nie mogła być pewna. Interwencja Luny? A może sama na to wpadła?

Nieważne! Grunt, że Blackpool miała pomysł na rozwiązanie problemu opadającego morale i podbicia własnej pozycji w poczcie dowódców frontowych.

Z niewyspania wszystko nieco migало przed oczami, zmieniało ostrość, a jedno oko zdawało walczyć o supremację nad drugim. Nie mogło to jednak jej zniechęcić, a tylko dodawało animuszu. Ćwiczenie nowego zaklęcia przez pół nocy i redagowanie treści rozkazu dziennego przez resztę czasu przed świtem, przypomniało jej nieco lepsze czasy, gdy jako dowódca batalionu więcej myślała o walce i taktyce, a nie nad nakarmieniem własnych dzieci. Tamte wyzwania zdawały się być młodzieńczymi, szaleńczymi zabawami wobec tych, z którymi zmagala się dzisiaj. Przynajmniej z mniejszym dyskomfortem uświadamiała sobie, że niegdyś spędzała całe dni na zwykłej nauce i realizacji własnych marzeń.

Ponieważ jej osobisty czołg Panzerbefehlswagen IV wciąż nie wrócił z naprawy, musiała skorzystać ze sprzętu pożyczonego z innej dywizji. Dostała SdKfz 232, przestarzały, ośmiokołowy samochód pancerny o bardzo długiej sylwetce, małej wieżyczce z automatyczną armatką dwudziestomilimetrową, a także szeroką anteną ramową, której już nie montowano na nowych pojazdach, zastępując je antenami gwiazdowymi.

Pod wozem zebrały się już wszystkie podległe jej związki taktyczne i sekcje. To oczywiście nie oznaczało każdego jednego żołnierza z osobna, lecz jedynie oficerów lub dyżurnych, aktualnie reprezentujących swe jednostki. Około stukucykowy szereg klaczy i ogierów o różnym stopniu zmęczenia życiem, lub mówiąc dosadniej: poziomemu rozkładowi. Nawet

ostatnie cieplejsze dni, które przysły wraz z pierwszym kwietnia, nie dały rady odświeżyć nieogolonych obliczy i poczochranych grzyw.

Ilu ich zostało łącznie? Półtorej tysiąca? Może dwa razy tyle.

Nędzne wspomnienie po pułku pancernym, reprezentowanym przez dwie bieda kompanie scalone z batalionem niszczycieli czołgów. I dział szturmowych. I czegoś rozpoznawczego. Dalej... coś ledwo zasługujące na miano baonu przeciwlotniczego, a tak naprawdę będącego zbieraniną luf wycelowanych w niebo. Pięć dywizjonów artylerii, zatem dwadzieścia cztery działa. W tym dwa samobieżne. Jeden pełen batalion piechoty. Sekcje łączności, kartograficzne, kapelmistrzowskie... wszystkie zlane w jeden, bezkształtny sztab przypominający zmutowaną komórkę jakiegoś pierwotniaka, odpowiadającą za wszystkie funkcje życiowe groteskowego organizmu.

I ona.

Najdziwniejszy mikroelement jądra. Przeszczepiona z zupełnie innego systemu przez szalonego biologa, którego pchała zwykła, żrebięca ciekawość „a co, jeśli wydelikacaną czarodziejkę włożę do kuwety pełnej starych żołdaków”. A to by się drab zdziwił wiedząc, jakim żołdakiem sama się stała i co zamierzała zaraz udowodnić w sposób godny samej siebie.

– Możemy zaczynać – powiedziała do swojej szefowej sztabu. Ta zgodnie z założeniem zarządziła zbiórkę, odliczanie w szeregu i zdała raport. Nieważne, to tylko formalności, albo raczej okładki spinające fabułę historii, którą zaraz opowie. Żołnierze potrzebowali tych kilku prostych komend, aby móc wprowadzić swe myśli na właściwe tory. Sunnyfarewell wskazała na wyrytą kopytem długą, łukowatą linię i nakazała tam się ustawić. Poszło to bardzo gładko i wokół wozu radiowego utworzyło się równe, prawie półkoliste audytorium.

Adrenalina jej własnego zdeterminowania właśnie zastąpiła jej cały sen zarwanej nocy i kilka hipotetycznych mocnych kaw. Blackpool chciała, aby poniósł ją prąd. Przeciągnęła mięśnie karku, sprawdziła, czy miecz leży w pochwie, oblizała wargi i wspięła się na pancerz, który miał być dziś jej sceną. Corsair uniósł ze zdziwieniem brew, co nie uszło jej uwadze. Bardzo dobrze, niech się zastanawiają. Niech rośnie w nich ciekawość „co ta słodka czary-mara znowu wymyśliła”?

– Moje małe kucyki...

Wytrzeszczone oczy, spłycony, wstrzymany oddech, nerwowe spojrzenia. O tak, już byli jej. Strzepnęli z siebie sen, marazm i zimną rosę depresji. Użycie serdecznego, matczynego zwrotu zarezerwowanego dla samych księżniczek nie mogło zostać zignorowane.

– ...przed nami stolica Marevallu, starożytna Fillydelphia! – wskazała kopytem punkt na horyzoncie – Miasto wielu kultur i perła w koronie Celestii! A teraz z każdym kolejnym dniem plugawiona przez okupanta! Duszona i profanowana przez jego szabry i okrucieństwo! Dzieje się tam terror, który nawet nie teraz, w obliczu klęski nie odpuszcza, ani nie ustaje! Tak, nawet leżąc na katafalku, Sombria wciąż szaleje w swej wściekłości!

Kilka osób nie wytrzymało i rozejrzało się dookoła, z wyraźną paniką. Do jej uszu dobiegły niesubordynowane szepty. Doskonale.

– Nie poznajecie mnie? Gdzie ta przeintelektualizowana, rogata panienka? Nie tyle matka oddziału, co raczej starsza siostrzyczka, którą należało wnosić po schodach? Wiele się zmieniło, od czasu gdy założyłam po raz pierwszy słuchawki i wysunęłam miecz z pochwy.

Postanowiła to zobrazować. Złapała rękojeść swoją telekinezą, obnażyła połowę klingi, demonstrując im ją tak, aby świeżo polerowana stal na chwilę zapłonęła w promieniu słońca, a potem trzasnęła gwałtownie chowając ją na powrót w jaszczurze. Parę osób aż podskoczyło. Mignął u niej uśmiech femme fatale, a potem kontynuowała głosem pełnym pasji.

– Otóż powiem wam co się zmieniło! Przede wszystkim, dowiedziałam się o bezmiarze grozy i zniszczenia, jakich w każdej sekundzie dokonują nasi wrogowie. Gwałty, egzekucje, podpalenia całych kwartałów domów! Ulica za ulicą! Każdej po kolei i każdej z osobna dzielnicy! Zemsta goni zemstę, a te smoki... te potwory nie chcą poddać się z honorem! Ci zwyrodnialcy pragną jedynie zostawić po sobie jałowe pustkowia, na którego widok nasze dzieci będą kulić się i płakać, nie mogąc odżałować straty swych rodziców. Nie wolno nam zwlekać! Musimy się spieszyć i uciąć smokowi łeb, nim podpali ostatnią strzechę! Musimy czym prędzej wyzwolić nasze siostry i braci spod kolczastego jarzma, które rozrywa ich szyje. Wiem, że wielu z was jest pełnych wątpliwości. Słyszeliście o masakrze na południu, widzicie jak nas niewielu i jak bardzo brakuje nam broni. Ale oto nadchodzi ŚMIERĆ!

Ryknęła, a z jej rogu wystrzeliły długie, czerwone jak płonąca krew błyskawice. Zamiast rozejść się po przestrzeni, one zaczęły się ze sobą zderzać i iskrzyć. Przez szereg kucyków przeszło zgodne westchnięcie podziwu, co potraktowała jako nagrodę za długie ćwiczenia iluzji, z którą jeszcze w szkole była na bakier.

– Wiecie, kto jest w herbie Fillydelphii? To syrena, inaczej kelpie. Pół kucyk-pół ryba. Zapewne was też w dzieciństwie karmiono pociesznymi historiami o słodkich, małych syrenkach! Mogliście słyszeć, z ust swych matek i babć, że kelpie z Fillydelphii to niezrozumiana, ale dobra i miła dziewczynka, którą w przeszłości dziadek Star Swirl Brodaty pogodził z kucykami, dając początek pięknej przyjaźni! TO KŁAMSTWA!

Tym razem jej róg obdarował wszystkich wizją półprzeźroczystego, długiego na wiele metrów węża. Świetlna i turkusowa istota wiła się dookoła wozu radiowego. Lecz dopiero po chwili zauważyli, że ma płetwy, a górna część ciała to kucykowa głowa i tors razem z długimi nogami zakończonymi kopytami. Wąż otworzył paszczę pełną ostrych jak szpile zębów, a w czerwonych średnicach zabłyszczało coś bardzo okrutnego.

– Syreny były potworami! Obrzydliwymi, monstrualnymi drapieżnikami, które swym cudownym głosem zaczarowywały nawet najodważniejsze pegazy i pożerały zahipnotyzowane, nieświadome swego losu kucyki! Szczególnie lubiły kąsać i rozrywać ciała swych ofiar gdy te jeszcze żyły i cierpiały, ale omamione nie mogły stawiać oporu. A teraz to my staniemy się prawdziwymi kelpie dla Sombryjczyków! Niech jak tylko usłyszą nasz głos, to srają pod siebie ze strachu!

Przez tłum przetoczyła się fala głosów. Prawdziwa nawałnica niedyskretnych szeptów lub zupełnie rozgorączkowanych okrzyków zdumienia.

– Niech lamentują! Niech płaczą i przeklinają los, że nie poddali się, póki była na to pora i zdecydowali się kontynuować walkę w tak wynaturzony sposób! Niech płaczą, widząc przed sobą jedne z najgroźniejszych bestii Equestrii! Niech tracą rozum i rwą swe grzywy! Chcę, aby na każdym pojeździe namalowano długą syrenę! Chcę, aby każdy żołnierz miał na twarzy jej ogon, paszczę i zęby! Długie, ostre kły, którymi wgryziemy się w ich tętnice! Niech w ostatniej myśli przypomną sobie, że nie bez powodu Equestria to magiczna kraina! Magia to nie tylko ładne światełka... Niechaj wiedzą, że kiedy ktoś krzywdzi twój kraj, to czujesz wtedy WIELKI GNIEW!

Kucyki uniosły w górę kopyta i ogony! Zgodnie zakrzyknęły, a Blackpool zaakcentowała to niemym rykiem, który dobył się z gardła iluzorycznej syreny. Ponieważ nie umiała wycharować dźwięku, to z jej paszczy wystrzeliły czerwone płomienie.

– Okażmy największą odwagę i stalową determinację! Przed nami bój, w którym bezwzględność będzie ogniem naszej determinacji! Bądźmy waleczni! Jeśli trzeba, będziemy brutalni! Bez wahania, bez lęku i żalu! Jak odtrącają nasze pojednawcze kopyto, to niech zginą w naszych syrenich szczękach! SYRENY! KELPIE!

– KELPIE! KELPIE! KELPIE! – w lot podchwycił rozgorączkowany tłum.

– Rychło wyruszymy w bój, aby pokazać ciemną stronę equestriańskiej magii! Będzie ona prawdziwym koszmarem dla nieprzyjaciela, stąd nazwa jaką jej nadałam. Oto zaczyna się „Operacja Marra!”

Wyobraziła sobie, że w tej chwili zewsząd rozlega się kanonada braw i triumfalnego tupotu. Żołnierze i tak pozwalali sobie na dalekie rajdy poza marginesy regulaminu, lecz nie mogli tak po prostu zacząć klaskać na apelu! W duchu trochę żałowała, że dyscyplina ostudziła wybuch entuzjazmu wobec jej przemowy, lecz miała jeszcze dla nich ostatni akord swojego przedstawienia.

– Od teraz nasza jednostka, nieformalnie nazywana „Kampfgruppe Blackpool”, uzyskuje oficjalny tytuł „Kampfgruppe Sirene”! Może przejdziemy do historii jako formacja bezwzględna. Formacja, co walczyła bez pardonu. Ale... – uczyniła pauzę aby jej słowa mogły wybrzmieć – jedno wam przysięgam, na swój miecz i na mą tarczę rodu Pool. Przejdziemy do historii jako ci, którzy wyzwolili Fillydelphię!

*

9 kwietnia 1272

Okupowana Fillydelphia, Śródmieście

15:00

– To ona, panie poruczniku – podporucznik Tower wskazała na klacz grzebiącą w silniku Kübelwagena. Jedyne, jakiego udało się przejąć Dzikiej Armii w całym powstaniu i służącego co najwyżej jako limuzyna ślubna. Jednak strach przed jego utratą oraz zniszczone ulice nie pozwalały na satysfakcjonujące wykorzystanie pojazdów kołowych.

Jednak porucznik Ace miał teraz inny problem. Na co dzień nie przyjmował do siebie skarg na zachowanie szeregowych żołnierzy. Od rozwiązywania tak trywialnych kłopotów przecież była żandarmeria wojskowa i dowódcy niższego szczebla, a nie wiceszef całego II Rejonu. Jednak miał lekką słabość do swej miniaturowej podwładnej i kiedy przyszła ze skargą, że nie radzi sobie z jednym kucykiem, to nie mógł tak po prostu odmówić. Założył czapkę i przytroczył szablę, aby wyglądać poważniej, po czym ruszył w ślad za podporucznik Tower. W sumie, to raczej klacz musiała truchtać, aby za nim nadążyć. Jej drobniutki wzrost był jednak błogosławieństwem w czołgu, w którym służyła jeszcze w Kryształowym Imperium. Dowodziła plutonem panzer czwórek i dostała się do niewoli, którą spędzała w obozie na Goose Street, aż do wyzwolenia pierwszego dnia powstania. Po zdobyciu dwóch T-34, doświadczony pancerniak

warty był tyle, ile ważył, a w jej przypadku to nawet dwukrotnie więcej. W efekcie mianowano ją osobą odpowiedzialną za ogarnięcie wszystkich zdobytych pancerek.

Ace nie mógł mieć do niej pretensji, że nie umiała poradzić sobie z krnąbrnym i aroganckim szeregowcem. Tower z jednej strony nie mogła fizycznie nad kimś górować, a z drugiej nie należała też do archetypu drobnych, ale temperamentnych klaczy. Zatem to była misja dla niego. Czuł się jak bohater.

Wskazana dziewczyna nie wydała mu się znana. Nie miał okazji spotkać się z każdym żołnierzem walczącym na Starym Mieście, a ona jako mechanik nie należała nawet do jego batalionu. Wydawała się jednak jakaś taka.. dziwna i charakterystyczna. Nosila męską, niebieską kufajkę, która była na nią o wiele za duża, a równocześnie coś na grzbiecie ją wypełniała. Jakby klacz cierpiała na otyłość grzbietową będąc przy okazji szczupłą i drobną. To bez sensu.

Ace'a to tak zafascynowało, że zapomniał, po co został wezwany. Podeszedł do szeregowej i zawołał:

– Bacność!

Klacz niespiesznie wynurzyła się spod maski auta i przyjęła postawę zasadniczą. Jej popielata twarz zdradzała skrajne znużenie połączone z irytacją. Wszyscy fachowcy tak się zachowywali, jak im przerywało się robotę. Jednak ona dziwnie zagryzała wargę i mrużyła oczy, choć dzień był ciemny i pochmurny.

– Co ukrywasz pod ubraniem? – zapytał porucznik. Kontrabanda w jego jednostce? Co za dyshonor!

– Nic – odpowiedziała niewinnie klacz, nie otwierając zbyt szeroko ust. Ogier dokładnie zlustrował jej głowę i zauważył kolejny podejrzany element, czyli dziwnie nastroszone futro. Ale tylko na uszach!

– Pseudonim, stopień, funkcja, znaczek! – zażądał. Klacz przewróciła oczami i odpowiedziała:

– Atum, szeregowy, mechanik w warsztacie centralnym, mechaniczna sowa.

– Pokaż znaczek!

– Nie... nie chcę się obnażać! Protestuję!

Zwężił brwi. Powinien teraz eksplodować i pewnie tego spodziewała się stojąca za jego ogonem zatrwożona Tower. Nie chciał jednak nikomu dać tej satysfakcji. Nie spuszczać wzroku z tęczówek buntowniczkich, przemówił spokojnie, lecz stanowczo:

– Jako oficer mam prawo wylegitymować twój znaczek. Dlatego poskrom swą buńczuczność, póki jeszcze nikogo prawdziwie nie rozgniewałaś!

Niechętnie i powoli podwinęła ogonem lewy bok, ukazując projekcję swego talentu. Zrobiła to tak, aby odsłonić tylko tyle, ile potrzeba i ani centymetra więcej.

– Słyszałem o tym znaczku. To ty uczestniczyłaś w naprawie zdobywczych czołgów?

– Tak, obydwóch – odpowiedziała, nie pewna, czego oczekiwać. – Z czego po odejściu Quitlane’a „Whoonę” zreperowałam... no głównie ja.

– To było wielkie osiągnięcie waszego warsztatu. Godne medali, które na pewno udekorują wasze piersi, jak tylko opanujemy sytuację.

– Naprawdę?! – klaczy zabłyszczały oczy, jakby już Ace pomachał jej przed oczami Żelaznym Słońcem.

– Naprawdę. Lecz czułbym się oszustem, gdybym podpisał taki wniosek o odznaczenie pod imieniem żołnierza, który sprawia kłopoty i jest gryfio arogancki wobec przełożonych. A także... który ukrywa swoją tożsamość.

Twarz szeregowej natychmiast zrosił pot.

– Ale... ale... to prawdziwy znaczek!

Pokiwał głową czując, że wygrywa.

– Znaczek tak, ale pod kufajką masz na pewno skrzydła. To oznacza, że jesteś pegazem figurującym w dokumentach kadrowych jako kucyk ziemski. To sprawa dla sądu polowego. I tutaj moja ostatnia prośba, abyś się do wszystkiego przyznała, żeby sąd polowy jednak się tym nie musiał zajmować.

Ugięły się pod nią nogi. Pochyliła głowę, zaklęła i nagle agresywnie zasyczała, aż oficerowie cofnęli się do tyłu. Wtedy jednym ruchem zrzuciła z siebie kufajkę i rozpostarła skrzydła na całą szerokość.

– Na miłość Cadance! – zapiszczała Tower. – Jesteś nietokucem!

– Dlaczego... dlaczego to ukryłaś?! – zapytał zaskoczony Ace, podziwiając błoniaste skrzydła.

– Czy naprawdę muszę to jeszcze raz wszystko wyjaśniać?! Nie chciano mnie przyjąć, więc się przebrałam. To cała historia! Teraz możecie mnie aresztować i zakołkować!

Dyszała ciężko z gniewu, a Ace ku jej zaskoczeniu jedynie uśmiechnął się i wymienił spojrzenia z Tower, a następnie przemówił łagodnie:

– Za ukrywanie swojej tożsamości na pewno spotkają ciebie konsekwencje. Do czasu zajęcia się tą sprawą przez organy sprawiedliwości, kontynuuj wykonywanie swoich obowiązków. Dalszy wzorowy przebieg służby może korzystanie wpłynąć na decyzję sądu. Jednak nie możesz egzystować w przebraniu, dlatego zabraniam ci dłużej ukrywać swoją rasę. Uchylam też twój pseudonim, wybierzemy ci nowy. Jak się nazywasz naprawdę?

Może i chciała go wkurzyć, tak jak swego ojca celowo wkurza zbuntowana hormonami nastolatka. Lecz porwała się na złą ligę, co właśnie zaczynała sobie uświadamiać. Dlatego uspokoiła się i odpowiedziała nie kłamiąc:

– Lacri... Lacrimosa.

– Mam nadzieję, że to prawdziwe imię. Zresztą, łatwo to sprawdzimy w kancelarii. Jakies pytania?

– Czy... mogłabym... zostać przy swoim imieniu? Na razie?

– Sądzę, że jest taka możliwość. Pełna konspiracja została zniesiona. Dziękuję za twój rozsądek, który okazałaś chociaż teraz. Lecz lepiej się pilnuj.

– Tak jest! – zaszalutowała, po czym zapytała. – Czy grozi mi... śmierć?

Zarechotał i uśmiechnął się do niej:

– Czy coś ci mówią takie imiona jak generał Spearstar, generał Twilight Sparkle, sierżant Applejack?

– Twilight Sparkle... słyszałam o niej... od swego przyjaciela. I przed wojną. Podobno nie żyje.

– To tylko niepotwierdzone plotki, ale nie o tym mówię. Chodzi o to, że to przykłady wybitnych dowódców. Wybitnych nie tylko dlatego, że skutecznie dowodzili wyznaczonymi i oddziałami, lecz traktowali swych żołnierzy jak własne dzieci. Nawet, kiedy te dzieci okazywały

swe najgorsze cechy, oni potrafili i wybaczyć i nauczyć! To złota cecha u każdego oficera. Będąc po drugiej stronie frontu nie miałem wglądu w detale ich dziejów, lecz nasłuchiwałem wszystkich opowieści i przemyconych relacji. I na tej podstawie kształtowałem własne modus operandi. Zapewniam cię, że śmierć to ostatnia rzecz, której ci życzę. Ale kara musi być odpowiednio wychowawcza. Dla dowolnego żołnierza.

Wysłuchiwała tego monologu zmieszanymi uczuciami, lecz nie chciała już przeciągać struny.

– Tak jest!

– Powrócić do wykonywanych czynności!

Odwrócił się w stronę patrzącej na nią szeroko rozwartymi oczami podporucznik Tower. Nie uśmiechał się ponad miarę, nie puszył, tylko spokojnie odszedł i poprosił drobną klacz o krótką rozmowę na osobności.

Ciekawe, ile zebrał u niej punktów. Może to początek czegoś pięknego?

*

9 kwietnia 1272

Okupowana Fillydelphia, Śródmieście

15:00

Zgodnie ze swoją obietnicą Hedgehog wypuścił z paki Mourning Bell, ale równocześnie ją uziemił, więc przez ostatnie kilka dni nie mogła robić niczego produktywnego. Oficerowie otrzymali rozkazy natychmiastowego meldowania jej o zbliżeniu się do linii bezpośrednich walk, więc nie chcąc im robić kłopotów, trzymała się z tyłu. Trochę pomagała przy szkoleniach, ale w większości marnowała się w zaopatrzeniu, próbując być jakkolwiek pożyteczna.

Nie chciała spotykać się z innymi nietokucami, lecz ciążyła nad nią świadomość nieuniknionego. Dlatego z wielką obawą postanowiła zameldować się u Nocturnała. Poszła prosto do sztabu, gdzie natrafiła na Tantabusa. Nienawidziła go za bycie podręcznikowym przykładem rozsadanego testosteronem mięśniaka, lecz nie było wyboru.

– Porucznik Tantabus? Dobrze się składa. Proszę mnie zaprowadzić do kapitana Nocturnalą.

Pijący właśnie przywiezioną z Canterlotu kawę spadochroniarz najpierw się opluł, a potem podskoczył gubiąc hełm. Schylił się po niego i podnosząc głowę dokładnie przyjrzał się intruzowi. Nie mógł uwierzyć, kogo widzi, lecz hełm w ustach uniemożliwiał mu wypowiedzenie jakiegokolwiek okrzyku zdumienia. Założył go z powrotem na głowę i stanął na baczność. Na wszelki wypadek.

– Kapitan Mourning Bell! Przepraszam... za to... zamieszanie.

– Nie szkodzi. A teraz proszę mnie...

– Jest problem. Major...

– O... dostał awans. Dziękuję za sugestię, złożę mu gratulacje.

– Major Nocturnal Eye nie żyje.

Teraz ona spojrzała zbита z tropu, a powieka zaczęła jej samodzielnie drgać. Nie tego się spodziewała, choć przecież wydawało się to oczywistym ryzykiem zawodowym. Żołnierz... żołnierski los... co w tym dziwnego? Czy powinna dziwić się, że wszyscy umierają, najpierw Żagiew, teraz Nocturnal? A na nią kiedy przyjdzie czas?

Natychmiast zaatakowało ją wspomnienie twarzy ogiera, które błyskawicznie zaczęło blaknąć ku sepii. To było paskudne i ścisnęło za serce wbrew jej woli. Nie mogła sobie na to pozwolić i nienawidziła, kiedy emocje próbowały jej narzucić tak kiczowato dramatyczne postrzeganie wydarzeń. Wystarczyło, że przy Żagwi odpłynęła i straciła czujność, co kosztowało ją złamanym żebrzem i pokiereszowanymi skrzydłami, nie mówiąc o areszcie.

Nie umiała jednak się od tego uwolnić. Jakiś stały filar jej dotychczasowego świata zawalił się z rumorem i pokrył jej ciało kurzem, o mało przy okazji nie grzebiąc pod własnym ciężarem. Nocturnal był jakby starszym bratem, który ją irytował, ale i który stanowił pewne oparcie w kryzysowych sytuacjach. Potrafił być pożyteczny. A teraz w jej pamięci stał się drwiąco wyblakłą fotografią.

– To... ogromna strata – wyjąkała, resztkami poczytalności chwytając się jakiegokolwiek składnej myśli. – Kto przejął jego funkcję?

– Ja, pani kapitan.

– Zatem to tobie gratuluję awansu – rzuciła odzyskując swój typowy okraszony cynizmem rezon. – I chciałam też zgłosić swoją obecność w mieście, gotowość do podjęcia działań na rzecz jednostki.

– Pani kapitan, naprawdę nie wiem, co zrobić – odpowiedział zupełnie zбитy stropu Tantabus. Stracił całkowicie swoją aurę grozy i niebezpieczeństwa, typową dla rosnącego wampira.

– Czy chodzi o księżniczkę Lunę? Czy wydała ci jakieś dyspozycje, instrukcje dotyczące mojej osoby?

Zamyślił się.

– W sumie, to nie.

– Zatem nie przejmuj się rozkazami, które nie padły, żołnierzu!

– Tak jest!

– A skoro już rozmawiamy... czy mógłbyś mnie zaprowadzić do ciała kapitana? O ile jest... tutaj.

– Tak, udało się je odnaleźć. Szeregowa Epitaphy! Do mnie!

Podeszła do ich spadochroniarka z lunarnie elegancką, ciemnogrnatową grzywą oraz zielonym i wyjątkowo sympatycznym jak na nietokuca wyrazie twarzy. Szczególnie, że posiadała zielono-niebieską heterochromię, którą dało się u dzieci nocy dostrzec częściej, niż u innych. Budziło to skojarzenia z wilkami i innymi drapieżnikami.

Znająca się nieco na kucykowych obliczach Mourning Bell odgadła, że conocnie musiała być pogodną i wesołą, uroczą osobką, która gdyby urodziła się pierzastą pegazicą, to byłaby numerem jeden w swojej klasie i na każdej przerwie otaczałby ją wianuszek adoratorów. Zaś jako nietoperzyca, zapewne spędzała czas sama i mogąc swoją słodkość wyrażać jedynie w pamiętniku. Jednak teraz ta natura została mocno przysłonięta szarymi chmurami chwilowego smutku. Jej makijaż rozmyły łzy z nieodległej przeszłości, a oczy zdobiły wory zmęczenia od płaczu i wielu nieprzespanych godzin.

Zabrała Mourning Bell na jedno z podwórek, na którym za rzędem kopczyków powbijano kije z nałożonymi na nie spadochroniarskimi hełmami. Jeden kopczyk, jeden grób, jeden hełm. Pierwszy z brzegu miał założoną na siebie szarfę z Żelaznym Księżycem. Szarfa była bardzo brudna i podarta, a na hełmie została zaschnięta krew. Napis na tabliczce głosił:

Mjr Nocturnal Eye

8.04.1272

– To mógł być każdy... ale czemu akurat on? – zapytała w powietrze Mourning Bell.

– „*Na mrocznych skrzydłach chwały, wniosę się do samych gwiazd. Noc oczekuje ode mnie ofiary, dla Equestrii i wszystkich ras*” – zaintonowała ładnym sopranikiem Epitaphy. No tak, to był Hymn Gwardii Nocy. Kapitan nie miała więcej pytań.

To nie tak, że jakoś przesadnie lubiła Nocturnalą lub nawet kochała. Ogier skupiał w sobie jeden z wielu pęczków cech, których nienawidziła u innych, takich jak: arystokratyczne urodzenie, zaawansowana elokwencja, szlachetna natura i perfekcyjne wykształcenie. Nie mogła też nigdy mu zapomnieć jego dominacji w trakcie walk w Canterlocie, kiedy korzystając ze swoich atutów zmusił ją do ukorzenia się przed stojącym wyżej w hierarchii kucykiem. Jednak doceniała go za jego mądrość. I za wiedzę, którą zawsze służył innym, nawet najtrudniejszych sprawach.

Czy to się nie wykluczało?

Westchnęła, nie mogąc pogodzić się z własnymi myślami.

– To bardzo ponury przypadek – powiedziała niepytana Epitaphy. – Majorowi odcięli głowę i w serce wbili kołek!

Mourning słyszała o tym barbarzyństwie, ale wyobrażała sobie, że to spotyka raczej jakiś anonimowych szeregowców. A nie kogoś, kogo znała tak dobrze!

Choć... słyszała o wielu przypadkach, kiedy kołkowano żołnierzy spoza Gwardii Nocy, na przykład noszących czarne mundury pancerniaków lub mających wystające siekacze. Kołkowano ich na wszelki wypadek.

– Nie zdążyłam jeszcze napisać dla niego epitafium – dodała szeregową, nim jeszcze Mourning zdążyła cokolwiek odpowiedzieć na poprzednią kwestię i otrząsnąć się z brutalnej wiadomości. – Ledwo co skończyłam w czasie wolnym coś sklecić dla generał Twilight Sparkle.

Nie mogę wyjść z osłupiania! Dopiero tutaj się o tym dowiedziałam, bo w Canterlocie niczego nie chciano nam powiedzieć!

A no tak! Twilight Sparkle podobno nie żyje, a przynajmniej tak twierdzi reżimowa propaganda. Należało raczej w to wątpić, jednak kto mógł mieć jakąkolwiek pewność?

– Nie sądzę, aby to była prawda... – zaczęła Mourning Bell, ale nie pozwolono jej dokończyć.

– Chciałaby pani zobaczyć?

A czy mam wybór? – zapytała bezgłośnie i przejęła kartkę z napisaną jakąś bardzo długą piosenką. Początkowo wiało od niej zimnem i powagą, ale po chwili zaczęła doczytywać się też przewrotnej wesołości.

Epitafium dla Twilight Sparkle (Zodiak)

Niegdyś usłyszałam gwar

Wysoko ponad swoją grzywą

Za gardło chwycił mnie zimny strach

Widząc, co jest za niebieską szybą

Lunarna rosa ruszyła w tan

Aż ujrzałam, co niegdyś opisane

Zodiak ożył i uzyskał kształt

Co od milenium było przepowiadane

Wielkie Oko, Oko Nocnej Pani, co na nowy rok otwierane

Zatrwożone patrzyło, jak zorzą niebo rozpalane

To posępny, gryfi rycerz, żrebaka zmęczon ochranianiem

Razem upiększają Equestrię przed ostatnim rozdziałem

Ogromny sfinks zasłonił ciałem słońce, planety i gromady

Ryczy wściekle i je połknie, jak nie odgadną szarady

Mała Somnambula usiadłszy mu na szpiczastym uchu

Ma nadzieję, że sama nie skończy w lwim brzuchu

Wszyscy tańczą w hipnotycznej taranteli

Wyśpiewanej z gardła drapieżnej syreny

Potwór rzuca najsroższe znane czary

Mające zmienić nasze życie w koszmary

Puste siodło na wierzchowca czeka

Stokroć godnego jego miecza

Żaden ogier lub klacz piękna

Nie poczuwa się dość wielka

Królewskie jabłko ze szczerego złota

Wieszczy że to żniwna jest już pora

Wielki Jeleń chciałby go skosztować

Głodu będzie potem wiekiem żałować

I już wszyscy utkwili swe spojrzenia

Żelazne pióro zrywa ich marzenia

Darowane lub zgubione, co za cena

Co kucykom dała siłę do istnienia

Nagle wszyscy w popłoch wpadli

Kiedy świat zasłonił cień szkaradny

Tantabiczny stwór w księdze opisany

Tylko kto przeczyta, nim będzie pokarany?

Cóż miałam czynić licha

Wobec misterii cudów

Zatliła się w rogu iskra

Poświęcona dla myśli ruchów

I dojrzali mnie, mieszkańcy nieba

Wzruszeni iskry niewinnością

Przysięgli, że gwiazdę mego imienia

Pomiędzy siebie kiedyś ugoszczą

Jako trzynasta ze szlachetnego grona

Co księgę jako jedyna umie odczytać

Gdy już me skronie obciąży korona

Abym sama mogła jej stronice pisać

Lecz nie od razu, się wydarzyć to może

*Muszę sama przejąć przeznaczenia wodze
Jakbym miała sama się osiodłać, nie najgorzej
Jabłkiem raczyć tych, co z sytością nie po drodze*

*Pomóż, pomóż mi szczęsna Somnambulo,
Kiedy i mi sfinks zada żywota pytanie
I ty prostuj moje ścieżki, tajemnicza Luno
Gdy od wyzwania słońię się twym cieniem*

*Będę z pokorą kłaniać się przed gryfem
Czerpać ze wzoru męstwa i odwagi
Tak samo klęknę przed jelenim bratem
Strażnikiem starożytnej sztuki i magii*

*Zadbam o skarby naszych przodków
Bez których nasze pieśni czeka zaraza
Siodło wędrowca, królewskie jabłko
A także pióro żelaznego pegaza*

*Tak wkroczę do zaszczytnego kręgu
Zasiadę do lektury najmędrszej z ksiąg
Z siódemką spojrzeń na ramieniu
I księgą, co życie ukazuje wprost*

Lecz nie szukam tytułów, nic wielkiego

Rozpocznę przekład każdego znaku

Dla pięknych snów i nauki dla każdego

Heksowa gwiazda zabłyśnie w zodiaku[1]

Mourning Bell nie należała do grona ekspertów z zakresu equestriańskiego folkloru, czy historii, ale i tak była pod ogromnym wrażeniem tekstu. Ten rozmach, ta złożoność...

Dyskusję nad tym, czy jakaś czarodziejka spod skrzydła Celestii zasługiwała na uwiecznienie pośród gwiazd pozostawiała innym. Na niej przede wszystkim nieodparte wrażenie zrobiła metafora tekstu i to, jak trafnie poetka układała myśli w słowa.

Chyba to właśnie to, czego będzie potrzebowała stanąwszy twarzą w twarz Pani Nocy. Nie mogła pozwolić sobie ponownie na równie nieskładne spotkanie, co z Tantabusem. Musiała mieć perfekcyjną przemowę.

– A więc nazywasz się Epitaphy i piszesz takie teksty na poczekaniu?

– No... nie mam za dużo czasu na to... ale staram się. To mój specjalny talent! – odgarnęła kawałek bluzy mundurowej, w pełni eksponując swój znaczek przedstawiający wieczne pióro piszące nutę. – Przez lata myślałam, że będę muzykiem i dlatego uczyłam się gam i śpiewu. Ale potem odkryłam, że moja poezja może być jak muzyka!

– Świetnie! – ucięła to kapitan. – Proszę cię zatem, abyś nie zginęła do końca operacji. Będę miała dla ciebie zlecenie już po zakończeniu walk.

*

9 kwietnia 1272

Canterlot

15:00

Stealher ostrzegł Lunę, że Midnight Lullaby i Full Moon okryły się żałobą na rok i jedną noc. Księżniczka sama miała ochotę popaść w zadumę i odciąć się od świata, lecz z oczywistych względów nie mogła sobie na to pozwolić. Wplotła jedynie dużą, czarną kokardę w grzywę, aby dać znać, że bardzo żałuje rozwoju wypadków. Straciła swojego najwierniejszego syna i wraz z nim wiele planów na przyszłość.

Ród Night Eye słynął z dostosowania się do bardzo starych tradycji, więc Luny nie zaskoczył osobliwy strój każdej z sióstr. Starsza nosiła ogromną, czarną jak smoła suknię, której aksamit przechodził w jedwabny tiul, a ten w koronkę. Za klaczą ciągnął się po ziemi długi, dwumetrowy tren, przypominający powolnie rozlewającą się rzekę smutku. Twarz zasłaniał ponury woal z naszytym na wysokości kłów paskiem, przez co spod niego dało się dostrzec tylko zaczerwienione od płaczu oczy. Zgodnie z obyczajem, kły musiały zostać całkowicie zamaskowane, gdyż pośród nietokuców uchodziły za silnie atrakcyjne seksualnie, co było źle widziane w czasie żałoby.

Młodsza siostra ograniczyła się do bardzo obcisłego kaftana i spodni z ciemnosrebrnymi kłami i czarnymi ćwiekami. Włosy nieco przylizła, aby upodobniły się do konwencjonalnego uczesania. Jedyną ekstrawagancją był mocny makijaż oczu w kształcie czarnych owali z których spływały czarne łzy. Kły zostały widoczne, lecz zabarwiła je lakierem na czarno.

Powitały swą seniorkę netorem. Luna przyjęła je w zwykłej sali tronowej, a nie swoim prywatnym dworze. Tamtejsza magia budująca iluzoryczne komnaty zaczęła szwankować, więc ograniczała przebywanie osób trzecich w miejscach nie do końca bezpiecznych.

Zeszła z canterlockiego tronu i przywitała się z obiema klaczami, a następnie czule je objęła. Ciało Midnight Lullaby zdawało się być o wiele chłodniejsze niż powinno, ale to chyba tylko złudzenie.

– Piękno nocy zostało zubożone o bardzo ważną gwiazdę w nadobnej konstelacji – powiedziała dostojnie Luna jak najniższym altem. – Po stokroć współczuję tego, co się stało.

– Wciąż... nie mogę w to uwierzyć – odpowiedziała nestorka rodu. – Wszystkie lata mentalnego przygotowania do takiej okoliczności zdmuchnęła... albo raczej zmyła... pierwsza fala rozpacz. Niczym kurz... och nocy, co ja za androny plotę...

Po woalem nie dało się zauważyć jej wstydu, lecz Luna wyobraziła sobie, że płoną jej policzki i puchną oczy. Pochyliła głowę z troską, aby stać się trochę mniejszą wobec pozostałych klaczy.

– Możecie liczyć na wszelką pomoc z mojej strony. Nocturnal był kimś więcej niż wiernym wasalem. Był moim serdecznym przyjacielem, jakiego chyba nie posiadałam nigdy.

– To cudownie słyszeć... świetnie – potwierdziła Fullmoon. – On wiele poświęcał sprawom państwa i dworu. Chyba byłby szczęśliwy wiedząc, że był kimś tak ważnym.

– Mój ukochany brat wspomniał o Waszej Ciemności w testamencie – oznajmiła Midnight łamiącym się głosem. – To bardzo ważne i chciałabym... pani to osobiście ... przeczytać.

– Ależ proszę. Słucham z uwagą.

Fullmoon wyszła na chwilę z sali i po sekundzie wróciła z trzymaną w ustach czarną kopertą. Siostra ją przejęła, otworzyła i wyjęła ze środka arkusz papieru w kolorze kości słoniowej, zapisany ciasną kaligrafią.

– Proszę pozwolić, że zacznę od właściwego fragmentu. A zatem... „*Następną rzeczą i być może najważniejszą ze wszystkich, jest kontynuacja moich badań. Najdostojniejsza siostro! Od kiedy tylko zacząłem cokolwiek pojmować, to zawsze głęboko Ciebie podziwiałem i fascynowałem się Two... Two... ją...*”.

Przerwała i nagle łzy same popłynęły wartkim strumieniem. List zsunął się z kopyta i Luna musiała go złapać magią. Klacz zgięła się w pół, a wtedy ukazała kolejną cechę swej kreacji. W tej pozycji wyglądała jak czarny kłębek nieszczęścia, który rozdzierał serca. Zaczęła szlochać, a Luna oddała list młodszej z sióstr i przytuliła zapłakaną. Objęła swymi długimi nogami, aby ta poczuła się bezpiecznie. Zaczęła szeptać uspokajające słówka i w sali nagle zrobiło się wyraźnie zimniej. Świece zaczęły kopcić, światło elektryczne zgasło, oddech zamienił się w parę, a na szybie pojawiły wymalowane mrozem kwiaty.

– Ukój swe poranione serce, moja córeczko – powiedziała nieco głośniejszym głosem Luna. – Rozewrzyj ten lodowy gorset chandry, który cię dusi.

Jak na komendę Midnight Lullaby się uspokoiła. Przestała płakać, a osuszone oczy rozejrzały się dookoła całkowicie trzeźwo. Jak po długim, regenerującym śnie!

– Dziękuję, moja pani – powiedziała z nieukrywaną wdzięcznością. Cofnęła się o dwa kroki i haftowaną w księżycy chusteczką doprowadziła się do porządku. Jakimś cudem jej makijaż nie został zmyty przez potok łez.

Do sali wróciła normalna temperatura. Wydobycie z kogoś smutku i przeistoczenie go w taki efekt musiało być naprawdę potężnym zaklęciem, które tym bardziej doceniły obie nietoperzyce.

Fullmoon chrząknęła i sama kontynuowała czytanie testamentu:

– „...fascynowałem się Twoją mądrością. Dlatego uważam ciebie za najodpowiedniejszą osobę do przejęcia mojej życiowej misji. Spotkanie z Broken Mirror zainspirowało mnie do wielkiego zadania, którego owoc zdecydowanie przetrwa mnie i cały nasz ród. Chciałbym zatem, abyś dokończyła moje badania dotyczące klątwy dzieci nocy i odpowiedziała na najważniejsze pytania, które odbierają nam spokojny sen. Wszystkie moje notatki i prace na ten temat są Twoje. Proszę też, abyś przekazała naszej protektorce, Księżniczce Lunie, że pośmiertnie proszę, aby jej wszystkie obietnice pomocy w tym zadaniu spłynęły na Ciebie”.

– Nie musisz się o to obawiać – granatowa klacz mrugnęła do swej poddanej.

– „Zdaję sobie sprawę, że być może proszę o zbyt wiele. W żaden sposób nie pragnąłbym wprowadzić zamętu do twego życia lub przytłoczyć swoim przeznaczeniem. Mógłbym oczywiście tłumaczyć to kolosalną wagą zadania, lecz jesteś zbyt mądra, aby sama tego nie dostrzegać. Jednak nie mógłbym Ci zadać więcej bólu, niż już zadałem swoją śmierć...”.

Teraz młodsza się zaczęła jąkać, a głos jej zwilgotniał, więc Midnight szybko odebrała dokument i kontynuowała, przeskoczywszy nieszczęśliwe zdanie:

– „Dlatego możesz wskazać dowolnego kucyka, którego uznasz za mądrego i lojalnego wobec naszego stada, który mógłby przejąć brzemień. Choć sam nie wiem, kto to mógłby być. Wszyscy znani mi mędrcy, jak chociażby wybitna Twilight Sparkle, oby uwolniła się od swej klątwy...”.

Lunie podeszło coś pod gardło.

– „...są dziećmi dnia i zapewne z trudem byłoby im zrozumieć naszą naturę” – klacz uczyniła pauzę. – Dalej są liczne wyrazy szacunku do nas i ciebie, Wasza Wysokość.

Lunie cisnęło się na usta wiele pytań, a przede wszystkim „jak daleko Nocturnal zaszedł w swych badaniach”, ale postanowiła zacząć od innego końca:

– Kim jest Broken Mirror. Czy to kucyk?

– To moja partnerka – odpowiedziała Fullmoon. Lunie roześmiały się oczy.

– Miłość między dwiema klaczami to niezwykła siła. Najserdeczniejsze zbliżenie dwóch kwiatów, dwóch brzoź. Podoba mi się w niej, że przypomina w niektórych aspektach miłość siostrzaną, a tu nietrudno się domyślić, że to bliski mi sen. Jest tak fascynująco różna od innych uczuć, jak równie imponującej miłości między ogierami lub oczywiście między ogierem i klaczą. W snach poddanych widziałam... och, ale się rozgadałam! Opowiedz mi o niej proszę.

– Chyba będzie najlepiej, jak sama się przedstawi. Proszę o wybaczenie...

Fullmoon cofnęła się o kilka kroków i otworzyła drzwi. Do sali wkroczyła posępna i wychudzona klacz nietokuca z niebiesko-zieloną heterochromią oraz niewidzącym spojrzeniem. Nie była pogrążona w żałobie, na co wskazywały odsłonięte zęby. Ubrana w prostą, czarną sukienkę, która nieco trzepotała przy każdym kroku, sprawiała wrażenie przypadkowego gościa na zamkniętej, rodzinnej imprezie. Bez słowa pokłoniła się przed księżniczką, lecz nie było w tym ani krzty typowego dla nocnego stada fanatycznego zapatrzenia w Panią Nocy. Równie dobrze mógł po prostu schylać się do ziemi, aby coś podnieść.

– Czy ty jesteś Broken Mirror? – zapytała Luna.

– Jeśli za imię uznamy jakąś zbiorczą nazwę dla wszystkich głosów, które szepcą między mymi uszami... to tak. „Broken Mirror” jest tak samo dobre jak „dwutwarzowa wiedźma”, jak często słyszę. To chyba z powodu oczu. Ach, jakże wygodnie byłoby mieć zaledwie dwie twarze.

Luna już dokładnie wiedziała, z kim miała do czynienia. Zrozumiała też całe przesłanie Nocturnal i powagę jego misji.

– Miło mi ciebie nareszcie poznać. Nocturnal Eye wspominał mi o tobie i bardzo chciał ci pomóc.

– Mi pomóc? – nadal spojrzenie klaczy nie wyrażało niczego, ona zdawała się przebywać wiele kilometrów stąd. – Są dwie możliwości. Jeśli to świat jest chory, a ja jedyna zdrowa, to przed Tobą wiele pracy, księżniczko. A jeśli to drugie, to chyba tylko pomoże tutaj przyzwyczajenie. A przyzwyczajenie to niemalże tak silne lekarstwo jak śmierć. Ale dziękuję. Ja z kolei chciałabym pomóc tobie.

Każdy inny kucyk zapewne zdumiałby się słysząc taką deklarację, ale nie Pani Nocy, krocząca między światem jawy i snu.

– Odważna propozycja, lecz ją doceniam i przyjmuję. Jestem jednak zmuszona cię ostrzec, że obcowanie z moimi koszmarami to niebezpieczne wyzwanie dla... ujmę to nieco dramatycznie, „śmiertelników”.

– Słyszałam, że przeżywasz swoją drugą młodość. Inne kucyki zapewne same by tego zapragnęły, ale mędrzec wie, że tylko pierwszy raz jest za darmo.

Nie musiała dopytywać, od kogo klacz usłyszała tę tajemnicę. Szaleństwo klaczy musiało być niczym odwrócona piramida. Na samym dole znajduje się tylko niewielki czubek, na którym wspiera się gigantyczna i niezrozumiała konstrukcja, która łamie prawa fizyki. A w tym przypadku psychiki. Sny takiej osoby musiały faktycznie być piekłem. Nic dziwnego, że aż tak ją ciekawiły! Miała nadzieję, jeszcze dziś do nich zawitać...

Nagle drugie drzwi prowadzące do komnaty rozwarły się z hukiem. Wszystkich na krótką chwilę oślepił blask szaro-zielonej magii, a do środka wkroczyła eteryczna postać. Była to pozbawiona twarzy klacz jednorożca. Cała ochutana w ciągnącą się za nią białą suknię, welony i tren, przez co przypominała negatyw Midnight Lullaby. Milczała i uniosła w górę głowę, ukazując przerażające, puste oblicze. Starsza nietoperzyca aż pisnęła z zaskoczenia. Broken Mirror stała niewzruszenie, a Fullmoon odważnie wyskoczyła do przodu i zasłoniła skrzydłami siostrę. Pani Nocy westchnęła troskliwie i zbliżyła się do tajemniczej postaci.

– O, mistrzynio głosu, dlaczego weszłaś bez pukania? Huk jakby ktoś strzelił z harmaty!

Luna pomimo, że zachowała ciepły i podniosły ton okraszony odrobiną dworskiego przekomarzania się, poczuła jednocześnie dreszcz w sercu. Sweetie Belle jeszcze o niczym nie wiedziała! I choć nie mogła zobaczyć żalobnych kreacji rodziny Nocturnała, to niehonorowo, a nawet okrutnie byłoby ją zwodzić lub wręcz oszukiwać. Jak wybrnąć z tej samozawijającej się intrygi?

Póki co zjawą nagle się zmieszała i przekrzywiła głowę, nadstawiając ucha. Smukłym i delikatnym kopytkiem poprawiła szal na głowie, odsłaniając białą opaskę zakrywającą oczy.

– Pardon! Cóż za gafa! Cóż za faux pas! – intonowała dźwięcznym sopranem. – Jeszcze raz najmocniej wszystkich przepraszam za to grubiaństwo! Czasami zapominam, gdzie jestem.

Wszystkie nietokuce wbiły w nią zafascynowane i równocześnie przerażone spojrzenia. Nawet Broken Mirror musiała dostrzec w niej coś niezwykłego, gdyż uważnie słuchała i jej wzrok zdawał się być wyostrojony.

– Z kim mam przyjemność? – zapytała Sweetie Belle. – Bardzo chciałabym przeprosić z osobna każdego z państwa.

Luna uśmiechnęła się i objęła kark klaczy ogonem, a następnie podprowadziła blisko trójki nietoperzy. Zatrzymały się, a biała klacz oddała wytworny i prawdziwie dworski ukłon. Mniej więcej we właściwym kierunku.

Lepiej było mieć to za sobą jak najszybciej.

– Jestem Sweetie Belle, nadworna harfistka i sopranistka Pani Dnia. Bardzo państwa przepraszam za ten haniebny nietakt.

– Hrabina Midnight Lullaby, seniorka dworu Night Eye – odpowiedziała starsza siostra i z niepokojem ujrzała, że rozmówczyni podniosły się uszy i ogon, jak rażone piorunem. Wymieniła spojrzenie z Panią Nocy. Obie zgodziły się ze sobą, że nie należało przedłużać napięcia. Niewidoma osoba może wyczuć zmieszanie w głosie, tak jak widząca widzi je po oczach i po twarzy.

– Fullmoon, młodsza siostra – odpowiedziała druga klacz, a na końcu włączyła się jeszcze Broken Mirror:

– Rozmawiasz z kimś nazywanym Broken Mirror.

Sweetie Belle pokręciła głową w napadzie paniki.

– Cóż za liryczny zbieg okoliczności! Akurat próbowałam się zainspirować do jednego utworu nosząc suknię niczym ze ślubu, na którego liczę, że jakowy kiedyś nastąpi. I pomyliłam komnaty! Wkroczyłam tutaj i spotykam nikogo innego jak rodzinę Nocturnal! Mojego Nocturnal! Ach! Wiele mi o was opowiadał!

Zdawała się zaraz zemdleć, więc Luna przytomnie przygotowała zakłęcie, lecz wtedy padło stwierdzenie, które również ją zamroziło. Choć było nieuniknienie do przewidzenia.

– Proszę wybaczyć... – zaczęła Midnight Lullaby – ale jestem zmuszona przekazać wiadomość, która będzie okrutna. Nocturnal... mój brat... on... On poległ w Fillydelphii.

Sweetie Bell po prostu dalej stała. Stała i milczała. Wszyscy zamarli w upiornej wymowności tego stwierdzenia i tylko cisza huczała w uszach. Minęło chyba z pół minuty zanim biała klacz przemówiła głosem o wiele wyższym, niż tym jakim posługiwała się na co dzień:

– Ale... to... przecież... Nocturnal Eye chciał zostać moim mężem, a ja przyjąłam te oświadczyzny. Obiecał... o tym opowiedzieć w domu. I poprosić swą starszą siostrę o błogosławieństwo...

– Bardzo mi przykro to mówić, że Nocturnal tego nie zdoła już uczynić... – w jej oczach pojawiły się łzy, ale natychmiast wyparowały w ogniu, który wybuchł metr od jej twarzy.

– Kłamstwo! – przerwała rozgorączkowana Sweetie Belle. Emocje szalały w jej głowie jak pożar magazynu chemikaliów. – Nie wierzę, żeby odszedł! Nie mógł tak mnie zdradzić! Nie mógł mnie porzucić dla zwykłej śmierci!

To było poważne i równie absurdatne oskarżenie, lecz Midnight była zbyt zrównoważona, aby dać się sprowokować.

– Ależ niczego nie insynuuję! To nie była zapewne jego wina...

– Że zrezygnował ze mnie i z ożenku? A może faktycznie zapomniał?! Serce rozerwane między miłością do siostry, a jakiejś ślepej dziewczki z plebejskiej rodziny z byle osady służebnej Canterlotu! A może to twoja wina!? – wskazała idealnie w sam środek nosa Broken Mirror. – Może to w twoich dwukolorowych oczach się utopił? Zafascynowany twoim obłędem i wręcz zahipnotyzowany twoimi dziwactwami! Wiem wszystko, bo o tobie mi wiele opowiadał! Może to go złamało i postanowił uwolnić się o szaleństwa, które go otaczało!

– Sweetie Belle! – odezwała się surowym, zimnym tonem księżniczka. – Te bezgranicznie fałszywe słowa nie są tutaj mile widziane. Zresztą wszyscy dobrze wiemy, że nie pochodzą od ciebie! Nie pozwalaj dłużej rządzić swej rozpacz!

Sweetie Belle krzyknęła piszcząco, aż zadrżały szyby i żyrandol, a potem odwróciła się w miejscu i pognęła przed siebie. Opętana przez swą lawinę emocji nie wcelowała dobrze w drzwi i odbiła się ciężko od jednego ze skrzydeł. Zawirowała i rozbiła się na podłodze, lecz nikt nie zdążył jej pomóc. Poderwała się, nie dbając o to że naddziera kopytkiem swe szaty i pognęła korytarzem, a one słyszały tylko dalekie echa kucyka tłukącego się na ścianach i potykającego się o progi i kanty dywanów.

*

Tej nocy miały miejsce dziwne zjawiska, które co bardziej zabobonne kucyki przypisywały siłom nieczystym. Zrodziło się też wiele legend, które z lękiem przekazywano dalej.

Tuż po północy przez ponure i pogrążone we śnie komnaty zamku Canterlot przetoczyła się powódź lamentu. Krzyki, płacze i rozpaczliwe wołania dało się słyszeć w każdym zakamarku pałacu. Ból i skarga brzmiące w tym głosie były tak rozdzierające, że niejedna klacz również nie mogła powstrzymać łez. Z początku myślano, że to księżniczkom przytrafiło się coś złego, lecz Pani Nocy zapewniała, że nic im nie grozi. Wyraziła ubolewanie, że ta noc będzie dla wszystkich bardzo przykra, lecz ani nie zdradziła przyczyny, ani nie zgodziła się by temu zaradzano.

Krzyki i płacze wyrywały kucyki ze snu, a strażnicy na warcie drżeli z przerażenia, słysząc te niezidentyfikowane jęki. Szybko pomiędzy nimi rozprzestrzeniła się plotka, że to nieznany upiór nawiedził zamek i teraz pokutuje za jakieś bluźniercze grzechy. Niejeden dałby sobie odciąć ogon, że widział na przeciwległym końcu korytarza, refektarza lub amfilady białą, zwiewną postać, całkowicie pozbawioną rysów twarzy i snującą się między pokojami. Kiedy z lękiem podchodzili do miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą widzieli zjawę, znajdowali tylko kafle podłogowe zroszone słoną, przeźroczystą substancją podobną do wody.

Opowieści o Białej Damie, która wędruje w nocy korytarzami i lamentuje, na stałe wpisały się w kanon canterlockiego folkloru.

*

10 kwietnia 1272

Canterlot

17:00

Wstała bardzo późno, najpewniej późnym popołudniem. Nie chciała jednak nikogo spytać o godzinę. Nie życzyła sobie niczyjego towarzystwa. Po prostu po otwarciu oczu z wielkim trudem zmusiła się do zsunięcia tylnych kopyt z łóżka i to był kres jej możliwości. Zanurzyła podeszwy w miękkim, wysokim na kilka centymetrów dywanie i nawet rozkoszowała się jego miękkością. Była w stanie poczuć, jak włoski pieczę jej kopyta, niczym dotyk futerkowego zwierzątka.

Nie pamiętała, kiedy w końcu padła wycieńczona i co robiła wcześniej. Po dotyku poznała, że była w koszuli nocnej, tej długiej i białej, niezbyt praktycznej. Miała zdarte gardło.

Bolały ją nogi z wysiłku i czoło od wielu kolizji, lecz nie znalazła żadnej ranki, czy też poważnego guza. Sama trafiła do siebie, czy ktoś ją przyniósł i przebrał?

Nic nie pamiętała.

Nawet tego, co jej się śniło. Zawsze cieszyła się doskonałą pamięcią do snów będących bogatym źródłem natchnienia. Jednak teraz poza kalejdoskopem negatywnych, bolesnych emocji, nic więcej nie pozostało w jej głowie.

Perspektywa pójścia do refektarza po coś do jedzenia, czy nawet zamówienia czegokolwiek do komnaty nie tyle, że wydała jej się trudna. Ona po prostu była nierealna. Tak samo wykąpanie się, uczesanie i jakakolwiek sekunda spędzona pośród innych. Odezwanie się choć słowem, zaśpiewanie jednej zwrotki lub zagranie taktu na harfie.

Istniała tylko jedna możliwość. Nie myślała o niej, nie planowała. Po prostu pozwoliła nogom działać samodzielnie.

Wstała i podeszła do okna. Kierowała się światłem ogrzewającym jej twarz, wymacała klamkę i otworzyła oba skrzydła. Uderzył ją orzeźwiający, chłodny wiatr połowy kwietnia. Nie krył w sobie surowości zimy, lecz niósł rychłą obietnicę rozkwitu prawdziwej wiosny.

Nawet lepiej, to bardzo przyjemne.

Krawędzią kopyta zlokalizowała brzeg wykuszu okiennego i wyprostowała się w pełni na swoje filigranowe sześćdziesiąt pięć centymetrów w kłębie. Zadarła brodę, chcąc poczuć jeszcze choć raz, jak wiatr owija się wokół jej szyi niczym zimny szalik.

Uwielbiała szaliki! Jeszcze nigdy nie myślała o tym tak intensywnie jak teraz! Nigdy nie odczuwała tego tak prawdziwie!

Wciągnęła powietrze, lecz zefir okazał się bezwonny.

Chciała unieść kopyto, ale wydało się jakieś nadkońsko ciężkie.

Zaraz, za chwilę.

Pragnęła jeszcze chwilę ponapawać się łagodnością scenerii. Tam w dole, pod jej wykuszem, znajdowały się komnaty i balkony mniej ważnych gości. Ciekawe, czy ktoś ją teraz stamtąd widział...

O wiele dalej rozpościerało się miasto. Trochę tęskniła za jego widokiem. Tak, jeśli miałyby przyznać się do jakiegokolwiek sentymentu tego typu, to brakowało jej pejzaży. Nawet najcudowniejsze kreacje kucykowych dam nie mogły równać się z sielankową lub impresjonistyczną grą światłocieni na horyzoncie. Czy też ze sklepieniem pełnych gwiazd, które opowiadało swoje historie o dawnych herosach.

Teraz nie miała nawet z kim dzielić tych wrażeń lub wspomnień. Nikt już jej nigdy nie opowie, co widzi tymi swoimi pionowymi źrenicami przebijającymi mrok i dostrzegający w nim tak niesamowite zjawiska!

Nikt.

Nagle wiatr uderzył ją w twarz o wiele mniej grzecznie, aż zaboląły ją oczy z zimna. To było nieco dziwne. Zmrużyła brwi, a potem sięgnęła ogonem do nosa.

Nie miała opaski! Zgubiła ją!

Serce nagle stało się ciężkie i metalicznie zimne.

Zrobiła krok do tyłu i straciwszy grunt pod nogami sturlała się znowu na dywan. Nie bacząc na obite biodro zaczęła gorączkowo szukać opaski po pokoju. Nie mogła się nigdzie bez niej pokazać. Absolutnie nigdzie!

Nogami, ogonem i nawet nosem obmacywała powierzchnię komnaty, cal po calu. Meble, wieszaki, krzesła, wszystkie prawdopodobne miejsca, gdzie ktoś mógł ją zawiesić. Najwidoczniej uznał, że to jest jak jakaś czapka i ściąga ją się do spania. Zobaczył jej twarz bez woalu! Co za upokorzenie!

W końcu natrafiła na opaskę na łóżku, niedaleko poduszki. Być może sama spadła, choć równie dobrze wciąż mogła zostać tam przez kogoś odłożona. Przysiadła na krawędzi materaca i

oddychała ciężko, nie mogąc się w sobie zmieścić. Nie potrafiła pogodzić się z teraźniejszą chwilą. Delikatny dotyk wiatru w ogóle nie chciał przewietrzyć jej umysłu. Nie mogła nawet zmusić się do płaczu.

Jej myśli krzyczały. Dosłownie krzyczały. Jak ranny ptak, jak powalane drzewo...

Uniosła głowę, jakby o czymś sobie przypominając. Zawiązała opaskę na głowie i wróciła do okna.

Chwilę tak trwała, pozwalając zefirowi głaskać jej nocną suknię oraz włosy. To było takie przyjemne...

Wspięła się ponownie na parapet, tym razem ostrożniej stawiając kroki, aby znowu nie wylądować na boku. Wystawiła się na pełną moc wiatru, wypełniając płuca świeżym, chłodnym powietrzem. Takim, które najbardziej kochały pegazy i w którym najchętniej nurkowały. Przez głowę jej przeszła myślże chciałaby stać się pegazem,. Choć na chwilę. Aby móc poczuć to, co one czuły pływając w niebieskich głębinach.

Uczyliła pół kroku do przodu, stanąwszy idealnie na krawędzi zewnętrznego parapetu.

A potem wycofała się i zamknęła okno. Podeszła do sekretarzyka, na którym położyła czystą kartkę. Zaczęła zapisywać piosenkę, która właśnie rozbrzmiała w jej głowie. Musiała zrobić to jak najszybciej, aby nie zapomnieć nut i słów, które właśnie same układały się w jej umyśle. Potem poprosi kogoś, aby to jej zagrał i zaśpiewał, aby mogła dokonać poprawek.

Nie wiedziała, skąd ten pomysł przyszedł tak nagle i z taką siłą. Czy były to emocje, czy może interwencja samej Luny?

Po takiej nocy niczego nie należało wykluczyć.

10 kwietnia 1272

Starówka

17:00

Jeszcze nigdy w historii Equestrii żaden tydzień nie był taki długi. Wydawałoby się, że ilość wydarzeń można oszacować i ustalić pewną średnią. Jednak jak zwykle, wszystkie wyliczenia szlag trafił.

Sombryjczycy zmienili taktykę. Ponosząc dotkliwe straty w walkach ulicznych z o wiele lepiej znającym miasto przeciwnikiem, a także nie mogąc złamać jego fanatycznego ducha, postanowili zastosować najstarszą strategię oblężniczą, a więc skruszyć morale głodem.

Po dwóch dniach od zagarnięcia magazynów na Poolovers i spalenia zapasów ogniem artyleryjskim, skończyła się wszelka żywność z głównych źródeł. Nie było gotowych potraw i konserw, ani tym bardziej mąki do powstańczych piekarni. Uruchomiono szpitalne rezerwy, a na Starym Mieście zaczęło brakować także wody pitnej. Kapitan Patchy nakazał kopać studnie na podwórkach.

Po trzech dniach wyczerpała się żywność w szpitalach i punktach opatrunkowych, zjedzono też wszystkie zachomikowane po domach porcje. Żandarmeria była bardzo surowa i bezwzględnie nakazywała oddawać wszelkie zapasy.

Po czterech dniach wiele osób próbowało już zasłon i obicia mebli. Sytuacja robiła się coraz bardziej ponura, a nastroje podupadły. Podniosły się głosy, że nawet za okupacji nigdy nikt nie przymierał głodem. Tylko weterani frontowi zdawali się być w miarę nieczuli na niedostatki, tłumacząc, że w mrozach Kryształowego Imperium, obozach jenieckich lub w okopach bywało gorzej. Ale ich było zbyt niewiele, aby skutecznie podtrzymać całe stado mieszczan, którzy nigdy wcześniej nie zaznali aż tak głębokiego niedostatku.

Komunikacja między rejonami upadła, gdyż Sombryjczycy wysadzili mosty. Dwukrotny brawurowy rajd powstańczego czołgu musiał po prostu kogoś doprowadzić do szału, więc podjął dość impulsywną decyzję.

Eksplozje miały przy okazji złamać ducha rebeliantów, dlatego były dość głośne i widowiskowe. Nawet cywile wychodzili z mieszkań, piwnic i schronów, aby rozejrzeć się, czy

ich ulica jeszcze istnieje, a z nieba nie pada krew zamiast deszczu. Żołnierze Dzikiej Armii uspokajali ich, że tym razem nie ma bezpośredniego zagrożenia. Jednak skoro już tłumy wyległy na ulice, to zauważyły, że wszędzie rozlepiono mnóstwo różnych prospołecznych plakatów o zróżnicowanej treści. Jednak jeden zgromadził wokół siebie wyjątkowo okazałe grono.

Mleko tylko dla Żrebiąt!

One muszą przetrwać!

Odezwa do wszystkich matek karmiących, aby zgłaszać się do punktów redystrybucji żywności w celu pomocy w wykarmieniu potrzebujących źrebiąt.

Uratować cudze dziecko, to prawdziwe bohaterstwo!

– Że co? Że mam niby dawać suta jakimś obcym bachorom?! Jeszcze będą gryzły! – poirytowała się jakaś klacz ziemską z chustą na głowie.

– Bywały różne zimy i przednówki – zarzęziła stojąca obok starowinka, definitywnie bezzębna. – Sama pamiętam! Ale nigdy nie było tak źle, że matki musiały cudze dzieci karmić!

– Co pani za głupoty opowiada! – oburzyła się modra pegazica. – A sieroty? W naszej dzielnicy przynajmniej ze trzy razy była akcja dokarmiania sierot!

– Ale to była działalność charytatywna, to się nie liczy! – stwierdził wysoki i chudy jednorożec.

– Jakie głupoty?! – oburzyła się staruszka. – Pochodzę z Hoofington! Tam to były zimy! Wy to zimy nie widzieliście! I nigdy nie musiałam nikomu dawać...

– Bo może nikt nie chciał? – przerwał jej rudowłosa ogier.

– Ale chamstwo! – oparła jeszcze inna klacz, tym razem starsza i szarawa pegazica. – To jest nasz obowiązek, aby sobie pomagać! Szczególnie tym, którzy są słabsi i głodni! Głodnych nakarmić, nic to wam, konie, nie mówi?

– Są chyba jakieś granice! To poważne naruszenie prywatności, intymności! – przeraziła się młoda klacz o ogromnych, turkusowych oczach.

– Tak, twoja intymność jest bardzo ważna i pomoże wygrać wojnę – sarknął chudy ogier.

– Wygrać wojnę! – wróciła klacz z chustą. – To powstanie miało potrwać parę dni! Tak mi mówił mąż, nim nie zginął trzeciego dnia! I co? I gdzie ten koniec? Jest coraz gorzej, a ani naszych nie widać, ani powstanie nic nie daje! Celestia o nas zapomniała!

– Odwołaj to, głupia szkapo!

– Co za świnia bez szkoły!

– Pierdolona dziwka!

– Pewnie obowiązkowych szczepień też nie przyjmujesz!

Kłótnia coraz się zaogniała i aż w pewnym momencie dwóch żandarmów musiało rozdzielić stado, aby uniknąć bójk. Przysłuchująca się wszystkiemu Smarty niewiele z tego rozumiała. Z jednej strony przecież chodziło o lojalność wobec księżniczek, a z drugiej kucyki zdawały się być na nie bardzo złe. To jak w końcu? Ufały alicornom, czy już nie?

– To prawda, że mleko bierze się z brzucha mamy? – zapytała zdeorientowana Swiftly
– Myślałam, że od krowy.

– Tak. To nazywa się „laktacja”.

– Brzmi dziwnie – skomentował Stealhi. – Ja dziwnie bym się czuł, jakby...

– Skauci, do mnie!

Odwrócili się i posłusznie stanęli w szeregu przed nieznany sobie oficerem w polowym mundurze Maremachtu, z elegancką krokiewką porucznika. Na patkach miał wyszytą dużą gruszkę, która wyglądała tak dorodnie, że wszystkim trzem malcom zaburczało w brzuchach.

– Mam dla was supertajne zadanie, ale to nie tutaj... za mną!

Podążyli za dorosłym, który prowadził ich do na wpół zawalonej kamienicy. Smarty patrzyła na jego ogon nieco sceptycznie. Na początku te wszystkie „poważne zadania” brzmiały interesująco, ale potem uświadomiła sobie, że dorośli i tak traktują ich jak

niepełnowartościowych żołnierzy. Żrebaki głównie robiły za gońców. Pomimo świadomości, że te meldunki zapewne były ważne, to jednak nie mogła pozbyć się uczucia rozczarowania.

W kamienicy siedziała cała duża grupa kucyków, wyglądających na ważne. Wystarczyło popatrzeć na ich wasy, oficerki, kompletne mundury i troskę w oczach, aby rozpoznać w nich osoby istotne dla powstania.

Była też ta dziwna klacz z wystającymi kłami i pionowymi źrenicami. Wyglądała niepokojąco i sama jej obecność wydawała się dzieciom mocno niekomfortowa. Gdyby nie to, że już wcześniej ją widziały, mogłyby się nawet bać. Jednak wtedy była po prostu znudzona, a teraz sprawiała wrażenie chorej i rannej. Taka chudsza, połamana, a jej skrzydła krzywo składały się na grzbiecie. Najbardziej wrażliwemu z całej trójki Stealhiemu zrobiło jej się nawet żal.

– Bacność, spocznij – rozkazał jeden chudy ogier, co chwilę oglądający się na stojącego obok brodacza. – Nie macie na pewno żadnych oczekujących zadań?

– Nie, panie... – zająknęła się Smarty zezując na jego pagon.

– Kapitan Stalowy. Dobrze, mamy zatem dla was zadanie najwyższej wagi, wymagające ogromnej odwagi i jeszcze większej dzielności.

– To coś dla nas! – uradowała się Swift.

– Na pewno? – odezwał się brodacza. – Nie chcemy składać tego zadania na barki byle komu. Jeśli czujecie się choć trochę niepewnie, jesteście ranni lub zmęczeni, to powiedzcie. Nie ma co się wstydić i z tego powodu zagrozić powodzeniu misji.

Popatrzyli po sobie z jednoznacznym porozumieniem.

– Nie jesteśmy „byle kim”!

– Dobrze – powiedział Stalowy. – Zatem...

Każdemu wręczył długą metalową tubę do przechowywania zapasowych luf od karabinu maszynowego. Za pomocą skórzanych pasów przewiesili je sobie przez grzbiety. Każde z nich wyglądało na typowego kuriera niosącego jakieś podstawowe zaopatrzenie do frontowej jednostki.

– Waszym celem jest dowództwo II Rejonu. Kapitan Patchy lub ktokolwiek z jego bezpośredniego otoczenia. Aha! Jeszcze jedno... kapitan Dusk pójdzie z wami.

Spojrzeli we wskazanym kierunku i dumne uśmiechy zeszły im z twarzy. To był ten wampir! Klacz stanęła obok nich w szeregu i sprawiała wrażenie mocno zniechęconej całą odprawą.

– Jej noktowizja okaże się bardzo pomocna po drodze.

– Noktoco? – zapytała skrzydlata dziewczynka.

– Och, to jest widzenie w ciemnościach! – zniecierpliwiła się Smarty. – Zapewne trzeba będzie chować się przed jakimś wrogiem!

Na to tylko czekała pegazica. Rozejrzała się dookoła zaaferowana spojrzała na wampirzycę nieco cieplej.

– Ooo będziemy przebijali się nocą przez wrogie stanowiska?– zapytała Swifty.

– Nie, to zbyt ryzykowne. Za żadne skarby świata wasze meldunki nie mogą wpaść w kopyta wroga. Pójdziecie kanałami pod korytem rzeki.

– CO?! – strach i zaskoczenie trwale wymieszane z niechęcią ścięły jej oblicze. – Ja nie... lubię ciasnych pomieszczeń! Ale pójdę! Pójdę! – zapaliła się widząc niechęć na twarzy dowódcy. Nie chciała stracić zadania.

Nietoperzyca położyła jej kopyto na ramieniu. Przeszedł ją bardzo zimny dreszcz, szczególnie po usłyszeniu syczącego akcentu:

– Zaprowadzę was. Żaden kanał nie jest tak przerażający jak to, co dzieje się na powierzchni.

Nie do końca mogli się z nią zgodzić.

*

Godzinę później, kiedy tylko przez okrągły właz zeszli w dół, a światło słońca odcięła żeliwna kłapa, cała odwaga prysła. Swifty już wcześniej miała swoje opory, ale teraz cała trójka szczerze wątpiła, czy gdzieś może być bardziej ponuro i złowrogo, niż tutaj. Czym prędzej włączyli latarki, którymi niespokojnie kreślili wzory na ścianach ciasnego, ceglanego

pomieszczenia. Zapach, póki co był trudny do identyfikacji. Po prostu duszna wilgoć z domieszką odrobiny zgnilizny.

Po wąskich schodach schodziło się jeszcze niżej. Tam należało spodziewać się koszmaru i malarii. Dusk nie czekała, tylko wkroczyła na stopnie. Sama nie zapaliła swojej latarki, zadowolając się odbitym światłem od pozostałych. Jakość baterii na pewno pozostawiała wiele do życzenia, więc należało ją oszczędzać dla młodych.

Hedgehog nie zgodził się jej zwrócić StG 44, więc wzięła ze sobą otrzymaną od Stalowego tetetkę. Żrebaki z wyraźną ulgą obserwowały, jak chowa ją do kabury. Patrzyły jej w oczy z wyraźną nadzieją, że w razie kłopotów ona je obroni. Ona, jedyna dorosła i doświadczona.

Nie musiały wiedzieć, że pistolet się zacinał i dlatego nikt go nie chciał.

Dziwnie się czuła. Jakby... pierwszy raz w życiu miała opiekować się kimś naprawdę bezbronnym. To było bardzo motywujące i nie ciążyło nad nią wrażenie głupiej odpowiedzialności, czego niegdyś się obawiała.

Na dole schodów znajdowały się jeszcze jedne drzwi, a za nimi mała drabinka prowadząca do właściwego kanału, który tutaj rozgałęział się we wszystkich kierunkach. Było zimno i zaskakująco sucho. Ich oddechy niosły się dalekim, ale jakby przytłumionym echem, które wracała z niewytłumaczalnym oporem.

– Widzicie? Nie ma czego się bać – powiedziała Dusk.

– Pani jest trochę straszna – szepnął Stealhi.

– Hmmmm raczej zawsze uważałam się za raczej osobę niskiego wzrostu.

– No tak, ale ma pani te kły, dziwne źrenice, uszy...

– ...i skrzydła? OJ! – Spróbowała je rozpostrzeć na całą szerokość, ale obite mięśnie gwałtownie zaprotestowały. Zatoczyła się i ledwo co zachowała pozycję pionową.

Zrobiła krok do przodu i do tyłu i zdobyła się nawet na uśmiech. Jakby... jej zależało na tych dzieciakach!

To było podwójnie zaskakujące!

Może po prostu ufne źrebaki stanowiły jakościową przepaść do jej dotychczasowej współpracy z zadufanym Hedgehogiem i dlatego instynktownie identyfikowała je jako sojuszników?

Nie czas na to!

– Do... do... dobrze... – wyjąkała. – Sprawdźcie, czy każdy z was ma kopię wiadomości.

– Skoro każdy z nas ma po jednej, to znaczy, że zakładają, że nie wszyscy tam dojdą – powiedziała poważnie Smarty. Swifty zadrżała. Dusk uznała, że słowa młodej dziewczyny są zbyt prawdziwe, aby zbić je byle jakim wkrętem od dorosłego. Zasługiwały jedynie na równą im szczerość.

– Być może... Posłuchajcie... – trzy pary oczu dosłownie spijały każde jej słowo i poczuła, że jej ufają. – Tak ważne zadanie nie byłoby równie honorowe i chwalebne bez elementu ryzyka. Zresztą, zapisując się tutaj wyraziliście zainteresowanie taką przygodą.

– Nie sądziłam, że to... stanie się naprawdę – odpowiedziała ze wstydem rogata dziewczynka. Oczekiwała bury ze strony przełożonej, ale ku swojemu zaskoczeniu, nietoperzyca podparła jej brodę kopytem, delikatnie uniosła ku górze i odpowiedziała ciepłym głosem:

– Chyba nikt z nas się nie spodziewał, że sprawy zajdą tak daleko, a ta przygoda całej Equestrii okaże się równie straszna. Mnie też to przeraża.

– Pani boi się śmierci? – zapytała Swifty. – Słyszałam, że nietokuce ją... lubią.

– Każde żywe stworzenie lęka się utraty swego jedyne go życia – odpowiedziała spokojnie Dusk. – Lecz niepotrzebnie jest obawiać się samego słowa i jego znaczenia. Los nie oszczędzał mojej rasy, dlatego aby owoić się z kruchością życia, nietokuce już od bardzo dawna starały się przygotować do niespodziewanej straty. Dlatego wytworzyliśmy tak specyficzną kulturę, w której śmierć zajmuje centralne miejsce. Ma to swój urok... – uśmiechnęła się do swoich wspomnień, w których na bal maturalny przyszła przebrana za stereotypową kostuchę. Miała wtedy biały makijaż, czarne oczodoły i podrasowane farbą zęby, które jarzyły się w ciemności. Jedna nauczycielka dosłownie się zapowietrzyła ze strachu.

Zeszli jeszcze jeden poziom niżej, docierając do właściwych kanałów. Droga była nisko sklepionym, ceglanym korytarzem o przekroju odwróconej łzy. Poziom nieczystości wydawał się prawie żaden, ale i tak dało się wyczuć działający odurzająco ciężki zaduch. Choć zaopatrzyli się w prowizoryczne maski z chustek nasączonych apteczną szalwią, to niewiele to pomogło. I tak czuli się chorzy już po kilku krokach.

Na oglądanej na powierzchni mapce droga miała być prosta jak strzała i nieskomplikowana. Nie było tam mowy o żadnych zakrętach lub zwężeniach, które doprowadzały ich do szału. Zmuszały do przeciskania się między ściankami oblepionymi wieloletnimi nawarstwieniami brudu, o jakiego istnieniu nie mieli dotychczas pojęcia. Czarne i zielone strąki, czasami były miękkie jak gąbka, czasami twarde niczym bazalt. Różniły się wyglądem, ale wszystkie bez wyjątku śmierdziały i budziły odrazę.

Każdy zakręt budził obawy, że zabłądzili albo pokręcą drogę za chwilę. Kompas stanowił oczywiście pewną pomoc, lecz czasami nawet liczenie kroków dawało dziwne wyniki. Mourning Bell ukrywała swoją konsternację i wręcz co jakiś czas powtarzała „tak, tak, dobrze idziemy”, aby dodać im otuchy. Jednak nie zawsze to pomagało. W sytuacji, kiedy nie istniała droga na przestrzał i byli zmuszani kluczyć, Swifts dostawała lekkiego ataku paniki. Zaczynała się trząść i gorączkowo rozglądać dokoła, jakby szukając wjazdu prowadzącego na powierzchnię. Przyjaciele musieli mocno i zdecydowanie ją pocieszać. Dziewczynka bardzo źle znosiła zejście pod ziemię. Już po pierwszych krokach wyparowała z niej wrodzona, pegazia brawura i zaczęła zwyczajnie się bać. Odór zgnilizny oraz wszechobecna ciasnota musiały dosłownie zgniatać jej serce.

Mourning Bell też czuła się o wiele gorzej, niż wcześniej to mogła przewidywać. Jako niepierzasty pegaz teoretycznie nie miała aż takich skłonności do tej prozaicznej klaustrofobii, a nietokuce lubiły mroczne i niewietrzone zakątki. Ale i tak potworne sensacje żołądkowe nie były chyba wyłącznie efektem niehigienicznego otoczenia.

Ogierek i rogata klaczka trzymali się nieźle. Poczucie zaszczucia w ich oczach wydawało się być na kontrolowanym poziomie i nawet obrzydliwy dźwięk kopyt zapadających się w fekaliach ich nie wzruszał.

Jednak kiedy dotarli do zacisku tuż przed rzeką, to nadeszła chwila próby. Korytarz wyraźnie się tutaj zwężał, aby wytrzymać ciężar wody. Ceglana cembrowina przemieniła się w stalową rurę, która położono dosłownie na dnie Kelpie. Kapiąca woda świadczyła o pewnych problemach z izolacją, lecz nie zanosilo się na żadną katastrofę.

Przed wejściem do rury spiętrzyło się mnóstwo śmieci, takich jak worki, drewniane, przegniłe deszczułki, mierzeje gruzu...

...leżały też na wpół zjedzone przez szczury zwłoki.

Dzieci stanęły jak wryte, widząc korpus z poogryzanymi do kości i gołych kopyt kończynami. Część głowy jeszcze została, ukazując najbardziej makabryczny uśmiech koszmarnych snów. Nieduże rozmiary wskazywały na klacz lub źrebię, lecz nie dało się tego potwierdzić. Kolor sierści również musiał być niegdyś inny, gdyż nikt nie widział futra w tak paskudnym odcieniu khaki.

Mourning Bell też coś właśnie złapało za żołądek i brutalnie zaczęło szarpać, domagając się eksplozji paniki połączonej z rozkładem własnego ciała. Chciała dosłownie wybuchnąć.

– O nie! Ja tam nie idę! – krzyknęła Swifty. – Nie! Nie! NIEEEE!!

Zacząła piszczeć jak oszalała, a nikt nie był w stanie jej uspokoić. Smarty wbiła wzrok w zwłoki z nie do końca poczytalną fascynacją osoby, która nie wierzy w to, co widzi, a Stealhy dyszał tak ciężko, że nie słyszał nikogo.

Dusk zacisnęła zęby i w myślach odmówiła dekadencją litanię wszystkich najgorszych przekleństw, jakie знаła. W ekspresowej, jednosekundowej wersji. Teraz chciała nie tylko eksplodować, ale też zacząć krzyczeć. Krzyczeć i kogoś po prostu zabić! Miała wrażenie, że kły same wysuwają się spod warg, rosną i ciągną ku najbliższym żywym stworzeniom! Chciała je ukatrupić, obezwładnić, zniszczyć i rozszarpać na krwawe strzępy, które nie będą już niczego przypominać! Nieważne, kto by to był! Nie miała potrzeby tego wiedzieć! Zabić dla samego zabijania!

Młoda pegazica zaczęła żywiołowo płakać. Dusk zwróciła ku niej oblicze, dostrzegając grube i tłuste łzy wolno spływające po czarnych od brudu policzkach. Podeszła do ryczącej dziewczyny, która widząc jej płonące żądzą mordy, zwężone źrenice zaczęła wrzeszczeć jeszcze głośniejsze.

Znieruchomiała, sparaliżowana strachem. Bezradnie oczekiwała, aż dorosła klacz rzuci się do jej szyi i zatopi w niej kły. Przyszła jej do głowy myśl, że to dobrze! Że szybka śmierć

uwolni ją od koszmaru, którego właśnie doświadczyła. Nie rozumiała przyczyny, ale nie była ważna! Chciała tylko umrzeć!

– Wiem, że to bardzo... przykra... sprawa... – wystękała Dusk nadkońskim wysiłkiem woli próbując mówić zrozumiale i jak najmniej strasznym głosem. I tak chwiał się na wszystkie strony i wibrował między różnymi oktavami, jak u niedzielnego śpiewaka operowego. – Ja tam pójde pierwsza, a wy za mną. Przetrę... dla was szlak!

Swiftly niezbyt się uspokoiła. Spróbowała się wyrwać, ale mięśnie dorosłej klaczy okazały się być absolutnie bezkompromisowo odlane z żelaza. Nafaszerowana adrenaliną nietoperzyca podniosła dziewczynkę jedną nogą i zawlokła bliżej wejścia do kanałów.

– Nie, błagam! Nie chcę! Ja chcę stąd wyjść! Wypuście mnie! Wypuście! Proszę, błagam, zabijcie mnie! Teraz, zabijcie!

Mourning Bell ją puściła, a Swiftly zwiotczała, wyczerpana krzykiem. Została pogłaskana przez klacz i po prostu została tak, jak stała, chcąc dalej biernie obserwować przebieg wypadków.

Dusk podeszła bliżej trupa, próbując nad nim przejść, lecz było to niemożliwe. Choć była najwyższa i tak nie dałaby rady go ominąć. Ponownie zacisnęła zęby i odprawiła w myślach swą plugawą modlitwę, a potem nogą odsunęła nieco zwłoki na bok. Truchło było obrzydliwie miękkie niczym zgniła gąbka. Poczuła, jak jej całe ciało pokryło się trądem, jakby liszaje natychmiast przeżarły się przez futro i zaczęły niepowstrzymaną ekspansję ku gardłu i oczom.

Zrobiła w ten sposób przejście dla żrebaków. Popatrzyła w dal długiej i prostej rury. Musiała tak przejść ze osiemdziesiąt metrów, w całkowitej ciasnocie. Ona jeszcze przynajmniej widziała w mroku, ale te małe biedaki nie.

– Przejdę tam i zaświecę wam latarką. To będzie znak... że droga wolna. I będziecie mieli... cel... ku któremu iść.

Nabrała powietrza i zanurkowała do rury.

A raczej próbowała, gdyż nie udało jej się zmieścić. Nawet maksymalnie skurczona, nawet przy swoim karlim wzroście, nie mogła wejść do rury bez ryzyka utknięcia.

– Kurwa, no nie! – zaklęła siarczyście, jak rzadko kiedy. – I po co to wszystko?!

– Proszę pani... – szepnęła cichutko Smarty.

– Ja tam wejdę! – dorosła klacz zaczęła krzyczeć. Czerwona mgła żądz krwi nienasyceńia zaczęła przeobrażać się w maniacką determinację wykonania zadania. – WEJDĘ! NIE POWSTRZYMA MNIE ŻADNA CIASNA PIZDA!

Odbiła się nogami, chcąc zanurkować w rurze niczym wydra. Najpierw poczuła uderzenie w bark, a potem potworny ból w skrzydle. Był tak potężny, że nie dała rady tego wszystkiego już dłużej tłumić i zaczęła krzyczeć. Wrzeszczeć, przeklinać, bluzgać na czym świat stoi i pluć śliną we wszystkich kierunkach. Próbowwała przez chwilę się miotać, lecz to tylko potęgowało cierpienie.

– Proszę pani! – darła się zapłakana Smarty.

– CO?! To znaczy... Taaak?– zapytała Dusk. Wyrzuciła z siebie emocje i wróciło jej myślenie. Dziewczynka też musiała to usłyszeć, przez co sama się uspokoiła.

– My dalej sami pójdziemy... musimy...

Mourning Bell z wielkim trudem i przy pomocy źrebaków wydostała się z dziury. Lewe skrzydło płonęło bólem przynajmniej w kilku miejscach, ale miała chyba tylko jedno złamanie. Tamte cienkie kości... nietoperzyca stwierdziła, że już wie, jak czuje drzewo z pogniecionymi gałęziami.

Musiała przez chwilę głęboko oddychać, podtruwając się zatęchłym, trupim powietrzem. Nie baczyła na to, chcąc jak najszybciej doprowadzić się do normalności.

– Jesteście naprawdę... bohaterami – powiedziała, chcąc dodać im otuchy. Oparła się o ścianę ceglanej komory, pokonana. Złapała nieco oddech i splunęła, marząc o papierosie. Powierzchnie otarłszy twarz, która jeszcze przed chwilą służyła za wycior, kontynuowała – Jak prawdziwi rycerze! I nie pozwólcie nigdy nikomu tego negować! Nikt, kto nie był w tak paskudnej sytuacji jak wy teraz... nie ma prawa krytykować waszej odwagi.

– Nawet ja?– zapytała płonąca ze wstydu Swifty, co dało się widzieć nawet pod grubą warstwą błota.

– Tak. Pegaz, który schodzi pod ziemię... to prawdziwy heros – uśmiechnęła się klacz, a potem oddała im swoją latarkę. – Poradzę sobie bez niej.

– To niemożliwe! – zaprzeczyła Smarty. – Przecież tylko księżniczka Luna widzi w całkowitej ciemności! A może to pani jest... czy pani...

Żrebaki wytrzeszczyły oczy, ale klacz zgasiła ich entuzjazm.

– Nie... nie jestem Panią Nocy. Ale tak jak nietoperz pewnie porusza się po ciemku, tak i ja dobrze radzę sobie nawet nic nie widząc. Pomyślcie, że osoby niewidome tak mają nawet w środku dnia. A ja mam od nich o tyle lepiej, że dobrze wychwytuję wszelkie subtelne zmiany światła, nawet dobiegającego z jakiejś dalekiej studzienki.

Uśmiechnęła się do nich, ale nie uzyskała w odpowiedzi tego samego. Chyba nawet dla dzieci wojny, było to zbyt wiele wrażeń jak na tak krótki czas.

– No już! Idźcie!

Zasalutowały i odwróciły się, a wtedy Dusk przypomniała sobie o jeszcze jednym, tajnym rozkazie, którego nie było liście.

– Jeszcze jedno! Zapamiętajcie dobrze! Nasi na Starym Mieście mogą potrzebować jakiegoś nietokuca. To miałam być ja, ale tam jest jeszcze jeden nietokuc! Nazywa się Lacrimosa, pseudonim „Atum”. Jest mechanikiem w Round Garden. Powiedźcie koniecznie o tym dowódcy rejonu albo komuś, kto zajmuje się po tamtej stronie czarną magią! Na przykład Wizzard, Equality, Snow White lub Gothic. To bardzo, bardzo ważne!

Pokiwały głowami i tym razem na serio zbliżyły się do nieszczęsnego przewężenia. Na szczęście mogły zignorować zwłoki, które szyderczo się wpatrywały w ich roztrzęsione ogony.

– Ja pierwszy! – powiedział Stealhi i wszedł w dziurę. Choć taki drobny i tak mocno się garbił, aby jak najmniej dotykać obslizgłej ściany. Potem wkroczyła Swifty, która musiała już literalnie się przeciskać przez swoje wyrośnięte nogi. Miała zamknięte oczy i trzymała w zębach ogon przyjaciela, aby dodawać sobie otuchy. Kolumnę zamykała czołgająca się Smarty, która jeszcze jeden, ostatni raz spojrzała na nietoperzycę, a potem zniknęła za towarzyszami.

*

Myśleli, że Śródmieście wygląda postapokaliptycznie, ze swoimi popalonymi kamienicami i kucykami żującymi z głodu zasłony.

Stare Miasto było po stokroć gorsze.

Nie sposób było znaleźć ulicę, przy której zachował się w pełni choć jeden dom, a zasłonięty i wszystkiego zdającego do oszukania głodu po prostu już nie było. Ulice usłane gruzem, gdzieś leżące zwłoki, których nie było już gdzie chować. Na zasypanych cegłami podwórkach poniewierały się podniszczone nagrobki, a więc połamane drewniane pióra i inne płyty.

Ponieważ nie było gdzie mieszkać, wszyscy kryli się po piwnicach. Z mroku łapały ponure, przerażone oczy, przepełnione bólem. Żrebaki czuły się jeszcze bardziej nieswojo niż w kanałach.

Choć robił się już wieczór, to dopiero teraz było dość jasno, aby móc się wzajemnie obejrzeć. Od przeciskania się ciasną rurą miały nie tylko wymiętolone i podarte mundurki, ale całą powierzchnię ich ciał pokrywała czarno-zielono-szara maź, przemieniająca ich grzywy w niezidentyfikowany kompost. Tylko oczy świeciły bielą, która boleśnie kontrastowała z resztą. Szczególnie na myśl, jak ubrudzone mają twarze i powieki.

Co chwilę gdzieś obok, najwyżej cztery ulice dalej, rozrywał się granat artyleryjski. Ziemia drżała, a pomiędzy spalonymi, rachitycznymi szkieletami domów wzbijał się gejzer pyłu i cegieł. Wtedy najbliższe ruiny były po prostu zdmuchiwane niczym filigranowe konstrukcje z cukru.

Choć mijani żołnierze i cywile wyglądali równie nędznie, co one, to dzieci i tak zwracały uwagę. Wszyscy byli raczej przykurzeni, niż oblepieni błotem. To też rzucało się w oczy: cała okolica była wyschnięta na wiór, jakby to wcale nie była wiosna, a środek upalnego lipca.

Dopiero po jakimś kwadransie szwendania się po zabytkowych ruinach podszedł do stadka olbrzymi ogier, chyba dwukrotnie wyższy od przeciętnego. Miał nierówną, skołtunioną brodę, zapewne efekt braku możliwości porządnego ogolenia się. Z tego powodu wyglądał dość potwornie, ale po przeżyciach w kanałach na żrebackach nie zrobiło wrażenia.

– Co tutaj robicie? Coś się stało? – zapytał z autentyczną troską w głosie.

– Mamy ważne rozkazy do dowódcy rejonu – odpowiedziała Smarty. Ogier uniósł brew pytająco i pochylił się nad nimi. Wyglądało to jakby potężny nosorożec przyglądał się kociętom.

– Do samego dowódcy? Ja miałem problem, aby tam się dostać...

– To rozkaz z samej góry. Chyba... – powiedziała klaczka i z pojemnika na lufę wyjęła zaplombowany zwój z pieczęcią dyktatora powstania. Rockhoof nigdy wcześniej jej nie widział, ale wyglądało to bardzo poważnie. Przyklęknął i powiedział:

– Wskakujcie. Wiem, do kogo możemy się udać.

Bez trudu zmieścili się na jego grzbiecie i zębami złapali munduru, aby nie spaść. Okazało się to bardzo mądrym posunięciem, gdyż ogier ziemski nie przejmował się za bardzo komfortem pasażerów. Bardzo szybko pognął przez ruiny, często ignorując co delikatniejsze przeszkody, jak drzwi lub zasłony z dykty. Jak nie dało się ich przeskoczyć, to wparowywał w nie całym ciężarem, czasami trwale je wyłamując. Jednak poziom zniszczeń wszędzie był już taki, że chyba nie robiło to już różnicy.

Galopowali na przełaj przez kilka zrujnowanych budynków, których dawną bryłę bardzo ciężko było określić na podstawie samych pozostałości. Dotarli do jakiegoś szanca ulokowanego u stóp ogromnego, mosiężnego posągu, pochylającego się nad roztrzaskaną barykadą. Z grzbietu olbrzyma dało się dostrzec w oddali spalony ogromny czołg i kilka trupów na nim. Okolica spełniała definicję pobojuwiska. Puste łuski zaścielały ziemię, braki w ulicznym bruku świadczyły o ich wtórnym wykorzystaniu. Pod kopytami posągu rozlała się ogromna plama krwi, rozmyta przez kapiącą z jego oczu rosę.

– To musiał być ten zabytkowy szpital! – powiedziała Smarty, a Stealhi swoim sposobem jedynie pokiwał głową milcząco. – Ale co się stało ze wschodnią wieżą?

Nie uzyskała odpowiedzi, gdyż dotarli na miejsce. Oprócz kilku strzelców ulokowanych w różnych oknach i na barykadzie, siedziała też dwójka nieco wyróżniających się kucyków. Ładna klacz z kwiatkiem za uchem obwiązywała głowę szczupłemu ogierowi z szablą i wyglądającemu na oficera.

– Rockhoof! – zawołała dziewczyna na jego widok. – Miałeś iść po flegmę[2]! Jeszcze go nie skończyli?

– Zaraz po niego pójde! Niosę tutaj trzech posłańców ze Śródmieścia! Mają sprawę do dowódcy rejonu!

– Kapitan Patchy teraz odsypia, ale ja go zastępuję. Porucznik Ace, do usług! – opatrywany ogier zasalutował elegancko przed schodzącymi z grzbietu olbrzyma żrebackami. Otworzyli swoje pojemniki i oddali wszystkie trzy kopie wiadomości.

– To to samo, ale trzy razy – zapewniła rogata klaczka. Ace pobieżnie przeleciał wzrokiem jedną z nich, po czym przysiadł z wrażenia. Podparł głowę kopytem, a potem podniósł wzrok.

– Goniec! Do mnie!

*

10 kwietnia 1272

Canterlot

23:00

Już dawno nie wizytowała Sweetie Belle we śnie. Bardzo tego żałowała, widząc spustoszenie, jakie dokonała wojna i upokarzające życie ślepca, a teraz dodatkowo utrata ukochanego.

Znajdowała się pośrodku rynku w Ponyville. Wszystko było czarno-szare, pokryte brudem i pyłem. Kiedy Luna dotknęła ściany najbliższego domu, to mur obsypał się i prawie zawalił. Panowała absolutna pustka, nawet powietrze stało martwe. Cisza tak głęboka, że dźwięczało w uszach. Luna widziała podobne krajobrazy wiele razy i od razu domyśliła się, jaka choroba zamienia w kamień uczucia, a przede wszystkim radość i gwar myśli.

Postanowiła się rozejrzeć. Powoli stąpała, nie chcąc uderzyć kopytem w cokolwiek, co mogłoby wywołać jakąś katastrofę. Marzenie trzymało się całości dzięki cienkim nitkom snu i każdy fałszywy ruch mógł skończyć się brutalnym obudzeniem, po którym trudno ponownie zasnąć. I tak jej buty zanurzały się w wierzchniej warstwie pyłu na kilka centymetrów, a kroki wydawały się huczeć wobec tak nihilistycznej ciszy. To było antynomicznie inne od przeciętnych snów, gdzie Luna lekko unosiła się nad powierzchnią, jakby nic nie ważyła. A teraz czuła się jak gigantyczny, jak ciężki jak w składzie porcelany.

Postanowiła sprawdzić najbardziej prawdopodobne miejsce, czyli wyjść poza Ponyville. Podążała ledwo widoczną pod kurzem ścieżką, aż dotarła do zabudowań farmy Sweet Apple. Wyglądały nieco lepiej od zabudowań miasta, choć i tutaj wszystko było rachityczne i trzymało się na słowo honoru. Luna uznała to za bądź co bądź dobry znak i poszła jeszcze dalej, aż za farmę. Znalazła się na skraju sadu, gdzie na dużym, niskim drzewie wybudowano okazały domek z galeryjką dookolną. Bez dwóch zdań, to miejsce było najsolidniej zachowane, a drzewo i deski sprawiły wrażenie litych i bezpiecznych. Luna rozwinęła skrzydła i gotowa do natychmiastowego wzbicia się w powietrze, wspięła się na pierwszy stopień.

Wytrzymał.

Zachęcona tym sukcesem poszła dalej i po paru krokach swych długich nóg była już w środku. Z trudem wcisnęła się do małego pokoiku, w którym niegdyś bawiły się małe źrebięta. Teraz jednak było tylko jedno. Najwyżej dwunastoletnia Sweetie Belle, jeszcze pozbawiona znaczką, kiwała się w rogu. W przód i w tył, w przód i w tył, jak dziecko z syndromem sierocym. Patrzyła tępo przed siebie i w ogóle nie zareagowała na przybycie księżniczki. Czerwone oczy płonęły od bólu i niewyspania. Niemalże dosłownie w źrenicach dało się dostrzec odbicie głębokiej rany magicznej, zadanej tamtego feralnego dnia.

Luna przysiadła się do niej i objęła silnie dziewczynkę swoim skrzydłem.

– Tak sądziłam, że ciebie tutaj znajdę – zagaiła nie oczekując odpowiedzi. Jeszcze nie teraz. – Każdy z nas, nawet w najczarniejszej rozpacz, zawsze znajdzie swoje sanktuarium. Jakieś miłe wspomnienie, w którym chciałby na zawsze utonąć. Nie dziwię się, że to akurat ten domek koło farmy Apple Bloom.

Sweetie Belle trochę się rozbudziła. Może to ciepły, matczyzny alt księżniczki, albo jakieś słowo jej pomogło. W każdym razie, wtuliła się w duże ciało Opiekunki Snów i chciała jak najgłębiej schować się pod jej skrzydłem. Zakryć piórami i tym mięciutkim, aksamitnym, kucykowym futerkiem.

– Nie wiem, co teraz – szepnęła swym piszczącym, dziecięcym głosem, w którym ledwo co dało się teraz rozpoznać piękny i ukształtowany sopran przyszłej harfistki. – Zachowałam się katastroficznie. Pozwoliłam, aby moja histeria zniszczyła pierwsze spotkanie z jedyną rodziną Nocturnalą. Nie ma dla mnie żadnego usprawiedliwienia.

– Och, moja kruszynko – Luna musnęła nosem uszka dziewczynki. – Tym akurat nie musisz się przejmować. Midnight Lullaby to bardzo mądra dama o szlachetnym sercu. Jestem absolutnie pewna, że ci wybaczy i z radością zaprzyjaźni z kimś, kto wypełniał serce jej brata ciepłem i miłością.

– Naprawdę?

– Czas wojny była dla Nocturnalą bardzo trudny. Był osobą ze swej natury melancholijną i fraszliwą, choć potrafiącą znosić wielkie trudności, aby znaleźć swoje miejsce w świecie. Nie liczyło się jego odczytanie, pochodzenie, czy uposażenie. On był sam. A to bardzo bolesne. Dlatego tym większe są twoje zasługi, za to, że podałaś mu pomocny ogon.

– To wielka ulga – odpowiedziała dziewczyna wtulając się mocniej i ocierając policzkami. Poczuła się lepiej. Chciała już pozostać w tej pozycji i stanie komfortowego zawieszenia.

Nie było jej to jednak dane.

– Tak... ale jest jeszcze jedna sprawa... – Luna westchnęła i jeszcze raz sobie wszystko powtórzyła w głowie, nim kontynuowała. – Moja droga. Ostatnie wydarzenia utwierdziły mnie w przekonaniu, że potrzebujesz pomocy. Rozmawiałam o tym też z moją siostrą i zaproponowałam rozwiązanie, które wydaje mi się być jedyną drogą.

– Jaka pomoc? Dlaczego? Co to za rozwiązanie?

– Twoje przeżycia i głębokie odczuwanie ostatnich wydarzeń nie są zwykłym smutkiem po utracie bliskiej osoby. Ten sen też nie jest bez znaczenia. Sądzę, że w twoich żyłach krąży o wiele za dużo melancholii, rozpacz i depresji. To stwarza dla ciebie wielkie zagrożenie, szczególnie jak będziesz starsza.

– Utyję jak Twilight? – przestraszyła się Sweetie, która zaczęła kojarzyć fakty. – Będę miała brzuch tak wielki, że przerosnie nogi? Nie będę mogła grać na harfie!

Księżniczka pokręciła stanowczo głową.

– Otyłość Twilight to głównie skutki klątwy, której jeszcze w pełni nie rozczytałam. Jednak jej choroba wzięła się właśnie z jej smutków i stresów, których doświadczyła w ciągu życia.

– Co mam robić? – zapytał przerażona artystka. Zaczęła się wiercić, aż alicorn usiał ją nieco mocniej ścisnąć. Szczególnie, że nie można było dłużej owijać w bawełnę.

– Przykro mi, ale musisz opuścić Canterlot.

Sweetie Belle znieruchomiała na chwilę z wrażenia.

– Ale to mój dom! To moja praca i jedyne miejsce, które dobrze znam! Nie potrzebuję przewodnika, ani nawet laski!

– Zdaję sobie sprawę, że to będzie trudne...

A guzik! Ty widzisz nawet w całkowitych ciemnościach! – odezwał się złośliwy głos w jej głowie. Luna słysząc ten głos w cudzych myślach wiedział, że niestety miał rację

– ...lecz jest to konieczne. To miejsce będzie dla ciebie teraz pachniało bolesnymi wspomnieniami. Musisz odpocząć. Przecież każdy zasługuje na wakacje, prawda?

– A co z Celestią? Kto jej będzie grał i śpiewał? Kto będzie koił jej nerwy przed snem, przymilał kąpiel i prowadził dyskusje?

– Zrobimy wszystko co w naszej mocy, aby ciebie godnie zastępować – puściła do niej oko. – Nocturnina nie jest tak utalentowana jak ty, ale też wiele potrafi.

– To gdzie mam się udać?

Luna rozejrzała się dookoła. No właśnie. Gdzie dziewczyna z rozdartym sercem będzie czuła się najbezpieczniej?

*

12 kwietnia 1272

Starówka

10:00

Trzeba było przyznać, że pomimo tragicznej sytuacji na powierzchni, ktoś znalazł odpowiednią dawkę samozaparcia, aby przygotować podziemne stanowisko. Naprawiono przewody wentylacyjne i zgromadzono zapasy pozwalające zamienić schron w punkt oporu. Ace po raz kolejny wykazał się daleko sięgającą przewidywalnością, gdyż pomimo zupełnego braku wiedzy o artefakcie Sombry, to nakazał go zabezpieczyć i zbudować bazę dla ewentualnej ekipy, która miałaby się nim zająć. Na wszelki wypadek nawet zgromadzono zapasy żywności, której tak bardzo brakowało. Niejedna osoba odjęła sobie od ust, aby móc oszczędzić jedną więcej puszkę lub paczkę sucharów.

Porucznik nie skrywał satysfakcji, pokazując wszystkim nieobsadzone jeszcze posterunki na korytarzach i naprawione drzwi pancerne, które równie dobrze mogłyby znaleźć się w więzieniu, a nie szpitalu. Z drugiej strony, niektórzy traktowali te słowa jako synonimy.

– To jak będzie wyglądała wasza... operacja? – zapytał Collaboratorów. Wszyscy bez wyjątku mocno skrzywili się wchodząc do pomieszczenia, za którym znajdował się artefakt. Teoretycznie zasłonięto go parawanem, ale mimo to czuli się jakby weszli do wnętrza reaktora magicznego, który wydzieliał szkodliwe promieniowanie. Brakowało tylko mrugającej zza zasłony poświaty, ale i tak w powietrzu dało się wyczuć dziwny, metaliczny zapach.

Wizzard westchnął i z wielkim trudem wypowiedział to, czego nikt nie chciał zrobić:

– Będziemy musieli... poddać się temu obiektowi, wnikać w niego. No i zniszczyć od środka.

– To może przypominać draconologa – dodał Gothic. – który wchodzi do paszczy smoka, aby przebić mu serce.

– Tylko darujcie sobie te wszystkie wstawki o patriotyzmie i poświęceniu dla księżniczek, bo mnie coś strzeli – zarzęziła Equality poprawiając sobie bandaż na głowie. Od czasu wyważenia drzwi ciągle ją wszystko bolało, a migreny stały się prawdziwie nieznosne.

Rozsiedli się na wskazanych materacach. Kwartet jednorożców oraz Lacrimosa. Porucznik gestem gospodarza oprowadzającego po swoich włościach wskazał na młodego chłopaka z Zielonych Szeregów, który stał obok dumny jak na rozdaniu świadectw. Bardzo szczupły i dość wysoki szary ogierek, być może nawet pełnoletni. Był kucykiem ziemskim, nosił okulary i gdyby nie bajkowo jasnoniebieskie oczy, mógłby odgrywać idealnie zwykłego przechodnia, którego zawsze w reportażach telewizyjnych proszono o komentarz.

– To jest druh Luxis – przedstawił go dowódca, a chłopak zasalutował. – W trakcie operacji będzie waszym asystentem. To bardzo kompetentny, młody żołnierz, któremu nie trzeba niczego dwa razy powtarzać.

Przywitali się z nim serdecznie, szczególnie Wizzard. Equality zachowała w sobie nutę chłodu i dystansu, jakby nie chciała ponownie przywiązywać się do kogoś, kto miałby zostać okaleczony na jej oczach. A przynajmniej tak odebrał to jej narzeczony, który został przez dowódcę poproszony o wytłumaczenie planu.

– Księżniczka Luna na podstawie doświadczeń Twilight Sparkle oraz księżniczka Cadance uważają, że artefakt jest emiterem aury, operującym przede wszystkim na częstotliwościach magicznej wrażliwości Sombryjczyków. Skłania i wręcz zmusza ich do bezcelowego okrucieństwa, stawiając wolę walki i zadawania bólu ponad własny interes żołnierzy. Ponieważ klątwa rozchodzi się w sposób kontaktowy, jej nosiciele zarażają kolejne osoby. Jednak zniszczenie lub zneutralizowanie artefaktu pozwoli mocno ograniczyć epidemię.

Rozejrzał się po wszystkich i dostrzegając zrozumienie, nabrał powietrza i kontynuował:

– Księżniczka jest pewna, że Sombra skorzystał z tego samego arkanu, co wieki temu w przypadku zabezpieczenia kryształowego Serca, a więc Arkana Strachu. Możemy spodziewać się, że przy próbie wnikięcia w strukturę pogrążymy się we śnie lub halucynacjach związanych z naszymi osobistymi lękami. Dlatego musimy oszukać artefakt i udawać jedną osobę, będąc w rzeczywistości grupą. Spodziewamy się osłabić paraliżujący efekt psychologiczny, gdyż sama nasza łączna masa nadal będzie zbyt znikoma wobec mocy artefaktu. Te kryształy operują na zupełnie innym rzędzie wielkości...

– Jak rozumiem, wasza grupa nie jest przypadkowo złożona? – zapytał Ace. Wizzard przytaknął z uśmiechem, jakby był wykładowcą przed uważnym audytorium. Mógł zatem retorykę wciągnąć na wyższy poziom.

– Księżniczka słusznie sugeruje, aby skład grupy, oprócz oczywistych kompetencji, charakteryzował się też jak najbardziej różnorodną morfologią etyczną, szczególnie pod kątem alicornizacji. Szczególnie cenny będzie tutaj udział Equality, która pomimo pochodzenia equestriańskiego jest rojalistosceptyczką, co może zaafektować odpornością na niektóre nurty presji psychologicznej artefaktu. Także Lacrimosa może okazać się ważnym członkiem zespołu i to pomimo braku rogu. Jako istota nocy może okazać się niewrażliwa na pewne fale i wpływ zła, zawartego w artefakcie.

Kiedy o tym mówił, Luxis zaczął już swoją pracę. Przyniósł wodę, jakieś suchary, a także torbę pełną kosmetyków. Equality musiała je znać, gdyż bez pytania porwała telekinezą małą puszkę, otworzyła i zaczęła ją rozsmarowywać na swoim rogu, a potem na męża. Pozostałe ogiery nieco mniej chętnie poddały się takim toaletowym czynnościom, lecz również się w tym nie ociągały. A wtedy harcerz zbliżył się do Neli.

– Co to za gówno? – zapytała z odrazą. Jej nietoperzowe kolory w takiej błyszczącej maseczce wyglądały dość groteskowo.

– Nie musisz się tego obawiać – odpowiedział Gothic. – To tylko maść wspomagająca przewodnictwo magii.

– W szpitalnych zapasach było też to – powiedział White pokazując coś, co przypominało niebieskie płyny izotoniczne. – Na etykiecie napisali, że to wyrównuje poziom wszystkich dziwnych rzeczy, które jednorożec traci przy czarowaniu. To od tego też są elektrolity?

– Ale z nas są specjaliści z pierwszej ligi – fuknęła Equality. – Jeszcze chwila i będziecie pytali Sunbu... Wizzarda, czym jest interferencja!

– Może przejdźmy do rzeczy – uciął Ace. – Czego jeszcze potrzebujecie?

– Stanowisko już jest. Musimy bezpiecznie się ułożyć w sąsiedztwie artefaktu i pogrążyć w transie.

– Najlepiej zminimalizować personel – dodał Gothic. – W trakcie naszej akcji może dojść do nieprzewidywalnych wyładowań elektromagicznych, które mogą być niebezpieczne. Niech w sali zostanie tylko jedna osoba, która będzie doglądała nas i samego artefaktu. Przydałby się potencjometr magiczny...

Wizzard uniósł kopyto, przerywając jego wywód a następnie kiwnął głową, a Luxis zdjął zasłonę i odsłonił skryty dotychczas artefakt. Pomimo, że obiektywnie rzecz biorąc, raczej wyglądał niewinnie, to i tak była od niego subtelna, ale złowroga aura. Nie sposób było na niego patrzeć zbyt długo, gdyż już po kilku sekundach oczy zaczynały łzawić, a serce zaczynało szybciej bić w nagłym wyrzucie adrenaliny.

Ułożyli się na szpitalnych materacach, przesuniętych jeszcze bliżej siebie. Ace wycofał się poza pomieszczenie, a Luxis zgodnie z nakazem szefa Collaborantów obwiązał każdemu ogon o nogę sąsiedniego kucyka, lub w przypadku krótszych ogierzych ogonów wspomógł się wstążką. Jak dodatkowe zabezpieczenie nad każdym znaczku wymalował też krótki zapis runiczny.

– To moja wiera, nie ma czasu na wyjaśnienia – stwierdził Wizzard.

Dodatkowo kazał skropić pomieszczenie jakimś płynem wydobytym ze szpitalnych zapasów, przez co w pomieszczeniu zapanował ciężki zapach mirry i kadzidła, choć na pewno nie były to same wonności, a raczej kolejny specyfik otrzymany na ich bazie. Jedynym oświetleniem pozostały duże latarki, a salę na wszelki wypadek odcięto od zasilania.

– Możemy bardzo cierpieć – ostrzegał Wizzard Luxisa. Miał tak poważną minę, jak tylko potrafi mieć inteligencik w ogromnych, okrągłych okularach, z rudą bródką i białą łysinką – Możemy na twarzach mieć wymalowany ból i katusze. Mimo to nie możesz nas budzić. Jedyna okoliczność, to konieczność ewakuacji... jakby nie wiem... Sombryjczycy mieli nas zasztyletować... czy coś takiego. My natomiast możemy we śnie krzyczeć i płakać, a mimo to nam nie przeszkadzaj!

Kiedy już wszyscy potwierdzili gotowość, aktywował róg.

– Jesteśmy sprzężeni? Dobrze! Napięcie... jest! Obwód... działa! Prześlę każdemu z was impuls testowy. Potwierdźcie, że go poczuliście!

– Nie mam rogu, ty... AU! – pisnęła Lacrimosa, kiedy coś jakby uszczypnęło ją w tarczycę. Nikt się tym nie przejął, tylko zakomunikował odebranie sygnału.

– Wydaje mi się, że wszystko jest gotowe. Za kilka sekund dotknę artefaktu. Próba infiltracji może mi zabrać dłuższą chwilę, w razie czego poproszę was o wsparcie. Bądźcie skupieni przez cały ten czas, czekajcie na mój sygnał! Nawet jakby miało to zabrać kilka minut! Potem moje zawiązane zaklęcia nas uśpi! Trzy! Dwa! Jeden!

Złoty promień magii dotknął kryształów.

I w tej chwili artefakt rozbłysnął na zielono, aż wszystkich oślepił i zupełnie rozbudził. A potem, zanim zdążyli zareagować na to, że coś poszło nie tak, każdego objął elektryzujący, seledynowy rozbłysk.

*

Wszystko go potwornie bolało i to pobudzało do myślenia. Dookoła siebie ujrzał wysoki, kamienny mur i zniszczone sklepienie z pojedynczymi żebrami sięgającymi nieba. Przypominało to wnętrze szkieletu przedwiecznego wieloryba. Jednak wczesnogotyckie słupki i powalone, ośmiokątne kolumny raczej sugerowały, że Wizzard znalazł się właśnie we wnętrzu dawnej, opuszczonej katedry. Tego typu budowli Celestia nigdy nie pozwalała wznosić za swojego panowania, zatem to jakiś wczesnośredniowieczny zabytek. Nad jego głową znajdowało się martwe, szare niebo, jakby namalowane z użyciem popiołu. Gdyby nie czarne cienie na tym przygnębiającym sklepieniu z chmur, nie potrafiłby odróżnić go od dymu lub smogu.

Spróbował wstać, ale wtedy odezwał się bardzo realny ból w lewej przedniej nodze.

Przypomniała mu się książka o nieudanej wyprawie rycerskiej Sir Morgensterna. Według wspomnień księcia dowodzącego krucjatą, od pewnego momentu wojownicy poczuli, że coś jest nie tak i wtedy dostrzegli cały wachlarz niezgodności. To ich w porę ostrzegło przed lawiną zagrożeń. Postanowił podążać tym samym tokiem myślenia i najpierw zwrócił uwagę, że na dziewięćdziesiąt procent nie był pogrążony we śnie, lecz przeniósł się do tego dziwnego

miejsca naprawdę. Czuł na języku ten charakterystyczny posmak, który towarzyszył mu za każdym razem, jak się teleportował. Oczywiście indywidualnie nie posiadał takiej umiejętności, ale na studiach mieli zajęcia mające zapoznawać studentów z różnymi doświadczeniami magicznymi. Nie sądził, że przyda to się akurat w takich okolicznościach.

Obawiał się zatem, że jego ciało było w pełni narażone na razy. Musiał uważać.

Ponadto nie podobało mu się, że był tutaj sam. Co się stało z grupą? Czyżby Sombra przewidział taki manewr?

Pełen obaw stwierdził, że niebo nad nim jednak nie jest martwe. Jak przyjrzał się dokładnie, to powszechna szarość przypominała nie tyle jakiś dwuwymiarowy malunek, a bardzo zbitą warstwę chmur, przypominającą budyń lub jakąś gęstą ciecz. To mogło być pewne złudzenie i tak naprawdę znalazł się teraz we wnętrzu artefaktu. A to, co nad sobą oglądał, to po prostu ścianki widziane od wewnątrz. Dla niepoznaki te chmury nieco się kłębiły, falowały i przewalały niczym oleiste morze o niedorozwiniętej, ułomnej perspektywie. Było to ohydne i odbierało wszelką chęć życia.

Pomieszczenie mogło być niegdyś bardzo okazałe i kojące. Ogier wyobraził sobie panujący półmrok i chłód pozwalający zebrać myśli i oddać się medytacji, a także starożytnym modłom. Jednak teraz wszystko zostało zniszczone i wypaczone. Żadna kolumna nie stała prosto, elementy dekoracyjne zniknęły i nigdzie nie dało się dostrzec żadnego dowodu na to, że odprawiano tutaj kiedykolwiek nabożeństwa. Leżąc na środku transeptu Wizzard mógł objąć wzrokiem prawie całe założenie budowli, lecz nigdzie nie dostrzegał żadnych symboli, pozwalających zidentyfikować kult.

Tylko jedna rzecz zwracała uwagę. Potężny witraż za obojściem ołtarza. Szkiełka wyróżniały się żywymi kolorami i dynamiczną sceną, na której zębaty Sombra pochylał się nad przerażoną do cna Twilight Sparkle. Czerń, szkarłat, fiolet i radioaktywna zieleń czyniły sztukę nieznosną dla oczu, a jakoś wykonania kontrastowała z nijakością murów.

Tym bardziej nabrał podejrzeń co do autentyczności miejsca. Czemu to wszystko wydawało się być takie... plastikowe? Jak scenografia w filmie, jak makieta w teatrze! A gdzie wyszlizgane przez wiernych kamienie? Samo porozrzucanie wszędzie gruzu i zawalenie do połowy ścian nie czyniło z tej podróbki prawdziwego zabytku.

W końcu udało mu się podnieść i ruszył w kierunku zrujnowanej kruchty, do której drzwi zostały gościnnie wyłamane. Noga go potwornie bolała, więc dokuśtykanie zabrało mu trochę czasu. Jak dotarł do drzwi prowadzących na zewnątrz kościoła, to upewnił się w swoich przewidywaniach. To było oszustwo i wystarczyło dotknąć namalowanej bramy, aby się o tym przekonać...

Lecz kiedy to zrobił, to coś się stało.

Zawiał zimny wiatr, wdzierający się pod futro i niemalże parzący lodem jego skórę. Uszy przedmuchało mu mroczne zawrodoenie, w którym dało się dosłyszeć jakieś bluźnierstwa.

To oznaczało, że mechanizm tego miejsca działał. Nawet, jeśli była to iluzoryczna budowla, jak podobno wykreowany pałac księżniczki Luny, to przebywanie w nim stanowiło realne niebezpieczeństwo. Pokiwał głową i zalecił samemu sobie większą ostrożność.

Ponieważ główna nawa wyglądała na pustą, Wizzard postanowił udać się do krypty. Wydawała się najbardziej domyślnym miejscem, w którym mogło znajdować się coś cennego. A przynajmniej tak byłoby w jakiejś powieści...

Z trudem dotarł do znajdującego się na podwyższeniu ołtarza. Jego menza została ukruszona, a antependium odstawało. Już na pierwszy rzut oka dało się dostrzec, że całą konstrukcję można łatwo rozebrać, aby coś odsłonić. Wizzard pokręci głową dostrzegając w tym pułapkę, ale nie miał lepszego pomysłu. Ponadto noga z każdym krokiem dokuczała coraz mocniej, więc na szyi zacisnęła się presja czasu. Im dłużej zwlekał, tym bardziej ograniczał swoją ruchliwość. Miał jedynie nadzieję, że znajdzie Starlight lub chłopaków. Wtedy mogłby liczyć na ich pomoc.

Spojrzał z dołu na Sombre na witrażu. W niektórych dawnych kościołach czy katedrach stosowano sprytną sztuczkę graficzną, która dawała niepokojący efekt. Wydawało się, że namalowana na obrazie lub sklepieniu postać patrzyła na widza, niezależnie od kąta jego obserwacji. Na szczęście, ktoś wyczarowujący to miejsce na to nie wpadł.

Wizzard po chwili namysłu aktywował róg. Nic się nie stało i nie uruchomił żadnego trybiku. Objął magią cały ołtarz i wyężając wszystkie siły spróbował go ruszyć. Poszło bardzo lekko i przy chrzęście kamienia o kamień odsłonił schody prowadzące w dół, skąpane w absolutnym mroku. Już chciał tam wkroczyć, kiedy usłyszał za sobą głos.

– Nic nie zobaczysz w ciemnościach, a róg walący po oczach wrogów to też zły pomysł

Odwrócił się w miejscu, a przerażenie niemalże rozsadziło mu pierś. Jednak w tej chwili noga ostatecznie się zbuntowała i ugięła pod nim, więc w efekcie wylądował u kopyt stojącej z tyłu postaci.

Na szczęście to była Lacrimosa. Pomogła mu wstać, a potem jęknęła, kiedy oparł się na jej grzbiecie całym ciężarem.

– To zaczyna się zupełnie jak sesja gry RPG – powiedział poprawiając okulary. – Lider drużyny po kolei odnajduje jej członków, a każdy kolejny jest tam, gdzie akurat mógłby wykorzystać swój unikatowy talent.

– Nie sądzę, aby Sombra grał w takie gry.

– Tak, ale jego wyobrażenia pochodzą z czasów, którymi twórcy gier mocno się inspirują. Ujmę to tak: że znajdujemy się teraz w oryginale takiej sesji...

Noktowizja Neli okazała się więcej niż pożyteczna. Stopnie schodów zostały bardzo nierówno wycięte i gdyby nie jej przewodnictwo, na pewno by się z nich stoczył. Mogli też zachować dyskrecję wobec wszystkich wykrywaczy magii.

Im głębiej schodzili, tym bardziej nasilało się wrażenie, że zbliżają się do rdzenia tej dziwnej elektrowni. Włosy zaczęły się stroszyć, a przypadkowe dotknięcie powodowało wyładowanie elektrostatyczne. Wizzard obawiał się, że Equality już zaczęła tutaj działać i to wszystko to popłuczyny po rzuconych zaklęciach.

Przystanął, kiedy przeszedł go potężny dreszcz po dotknięciu ciężkich drzwi zamykających korytarz. Wciąż nie chciał korzystać z magii, więc wspólnymi siłami mięśni uchylili je nieco.

Och, słodka Celestio! Starlight!

Rozpoznał ją od pierwszej chwili, lecz im dłużej patrzył, tym bardziej nabierał wątpliwości. Niby była jak ona, ale włosy miała idealnie proste, dość krótkie i jakieś takie bez wyrazu. Neutralna, socrealistyczna posągowa twarz minimalistycznego artysty. Mocno poszarzała sierść tak spłowiła, że nie mógł dopatrzeć się w niej charakterystycznego różowofioletowego odcienia. Obawiał się, że dopowiadał sobie w myślach jego istnienie.

I znaczek. Jej tańcząca gwiazdka zniknęła i zamiast tego pojawił się ponury, szary matematyczny znak równości.

– Co to jest za szajs? – zapytała Lacrimosa.

– To musi być jej żyw... żywioł! – wyszeptał przerażony Wizzard. – Chaotyczna postać jej samej, ukryta głęboko w najmroczniejszych sztolniach duszy! I chyba coś zrobiła też im!

Za jedną z kolumn stały w rzędzie trzy ogiery, czyli Snow-White, Gothic i Luxis. Patrzenie na nich było do bólu nieprzyjemne, gdyż oczy nie mogły oprzeć się na ich charakterystycznych cechach, a umysł nie rozumiał, co widzi. Byli równocześnie sobą, a jednak sztucznie zrównani do jednego wzorca. Zdawali się z każdym mrugnięciem oczu stawać kimś innym, tracąc swe charakterystyczne cechy. Niby każdy był innego wzrostu i postury, a jednak nie dało się na tym skupić wzroku. Stracili krój twarzy, fryzury i wyraz oczu. Najprościej było ich wyobrazić sobie jako ułomnie identyczne manekiny nie mające absolutnie żadnych wyróżników. Kiedy tylko Wizzard wpadł na ten pomysł, to sam ze zdumieniem odkrył, że właściwie trudno mu w tej chwili ich postrzegać inaczej. Nawet przypomnienie sobie ich prawdziwych postaci nie było łatwe i z każdym kolejnym krokiem pokonywanym przez myśli i pamięć, stawało się to trudniejsze i bardziej pogrążające we mgle.

Ich znaczki również stały się zimnymi, drwiącymi z kucykowej natury znakami równości. Cały życiowy dorobek doświadczeń i equestriańska różnorodność zostały zredukowane do prostackich, równoległych kresek, niegodnych nawet prymitywnego portretu, co tym bardziej dopełniało obrazu bylejakości ich wizerunków.

– Co tak stoisz i się gapisz jak na bezgwiazdne niebo? – zapytała Lacrimosa.

– Nie widzisz tego bolesnego absurdu?! Sombra zaczarował moją narzeczoną!

Zwęziła brwi i zasyczała odruchowo.

– Widzę, ale tutaj trzeba działać, a nie się lampić! Dlatego ruszmy może dupę, co?

– Tylko popatrz na nich! Co ona im zrobiła?! Nie wiedziałem, że to możliwe!

Popatrzyła na scenkę nie kryjąc odrazy. Jednak nie byłaby nietokucem, gdyby nie spróbowała dolać odrobiny złośliwości do czyjegoś przerażenia.

– Ciekawe, czy to boli...

Sunburst nie podjął wyzwania i milczał, więc westchnęła z rezygnacją, a potem powiedziała:

– To miał być nasz największy strach, tak? Wygląda na to, że to jest twój największy strach! Że odbije twojej kobiecie!

Zagryzł wargę, nie mogąc zaprzeczyć. Problem polegał na tym, że nie mógł mieć pewności, czy to na pewno ona, czy też jakaś iluzja. A może ktoś inny się w nią zmienił, niczym podmieniec? W tym chorym przedmiocie wszystko było możliwe!

Poczuł się głupi i goły, zupełnie nie przygotowany do zadania, w które wdepnął. Jak mógł udawać takiego mądrego i wciągnąć wszystkich w tę potworność? Przecież jeśli którakolwiek z tych postaci jest prawdziwa, to wszelka konfrontacja zrobi im krzywdę!

Teraz zrozumiał, że Sombra wykazał się tutaj geniuszem. Po co tworzyć skomplikowane i indywidualne wizje mające zbombardować psychikę śmiałka, skoro wystarczy poszczuć drużynę przeciwko sobie! To jakże oczywiste! Jeśli nawet Sombra przewidywał, że przyjdą tutaj reprezentantki Klejnotów Harmonii, to na pewno będą wzorowo współpracowały. I wtedy jedyną bronią przeciwko nim będą one same! Trzeba było rozbić tę drużynę!

I jak on, brzydzący się przemocą mól książkowy, miał walczyć ze swoją narzeczoną? Zresztą co miał jej zrobić? Zabić?

– Widzę, doktorku, że ciężko myślisz.

– Nie wiem co robić! – wydyszał spanikowany. – Trzeba podjąć jakieś działania, ale przecież jej nie uderzę!

Westchnęła zrezygnowana.

– Dobrze, że ja nie mam takich oporów.

Odsunęła się, rozpostarła skrzydła i lecąc wzdłuż żeber sklepienia zawisła nad Starlight, tuż pod zwornikiem. Nietoperzowe skrzydła nie wydawały żadnego szelestu. Obniżyła się, zatrzymując dopiero metr nad upiorną wersją czarodziejki, aby nagle spaść na nią jak orzeł.

Jednak w przeciwieństwie do drapieżnego ptaka, nie mogła skorzystać z przewagi prędkości, masy i ostrych szponów. Wpadła na grzbiet Equality chcąc ją przygwoździć, lecz klacz ustała na nogach. Sięgnęła zatem skrzydłami do jej twarzy, nie mogąc jednak żadnym chwytem jej spacyfikować.

Wizzard patrzył na to zszokowany, właśnie brutalnie sobie uświadamiając, jak bardzo nie jest wojownikiem, a jedynie pisarczykiem wyciągniętym za frak z biblioteki. Choć bardzo chciał, to jednak nie mógł tego zwalić na czarną magię króla Sombry, czy własną bolącą nogę. On po prostu nie potrafił podnieść kopyta na Starlight! Dlatego tylko stał jak słup soli i patrzył bezradnie.

Equality w końcu zrzuciła z siebie Nelę, która wyłożyła się na podłodze i krzyknęła z bólu. Musiała obić sobie kręgosłup, gdyż przez parę sekund leżała bez ruchu. Pograżona w szaleństwie żywiołu czarodziejka to wykorzystała i przystawiła róg do jej czoła. Nietoprycza zaczęła blednąć, a jej znaczek z mechanicznej sowy nagle stał się znakiem równości.

Tego było już za wiele. Wizzard zaboksował kopytami i ignorując kolosalny ból uszył przed siebie, zamykając jedno oko. Wpadł na Equality i swoją masą zwałił ją z nóg, potem przygniótł do podłogi i unieruchomił. Zupełnie nie wiedział co robić! Jakiego zaklęcia użyć i jak ją odczarować! Czuł bijącą od klaczy potężną aurę magiczną, która w zupełnie niekontrolowany i niebezpieczny sposób buzowała niczym otwarty reaktor atomowy, zagrażający skażeniem otoczenia. Było to bolesne i nie do wtrzymania. Róg ogiera zaczął się rozgrzewać, jakby chcąc za chwilę zapłonąć lub wybuchnąć. Włosy na całym ciele zaczynały falować i kręcić się we wszystkich kierunkach. Nawet ogon próbował się wyrwać spod kontroli ciała! Nie miał wiele czasu! Wciąż nie wiedział, co zrobić!

Dlatego przytulił się do jej szyi i korzystając z jej zbiecia z tropu mocno wpił się ustami w jej usta, składając tam najdłuższy pocałunek w swoim życiu.

Starlight zwiotczała i zaczęła się zmieniać. Kolor sierści odzyskiwał nasycenie, włosy wydłużyły się i zakręciły po staremu, a znaczek rozbłysnął i z powrotem stał gwiazdką z pastelową wstążką.

Ogier poczuł, że napięcie magiczne w powietrzu zelżało. Mógł oddychać normalnie, a wszystkie anomalie na jego ciele zniknęły.

– Dziękuję... – szepnęła cicho klacz łamiącym się głosem. Jej oczy zaszczyły łzami, a kopyta zaczęły dygotać. – Nie mam siły... wstać...

Wyprostował się i ją podniósł, a ta uwiesiła się jego szyi i pocałowała serdecznie, z kilotoną wdzięczności. Trwali tak przez chwilę, a w tym czasie reszta też wstawiała z podłogi i próbowała wrócić do normalności. Dopiero wtedy adrenalina nieco zelżała, przypominając czarodziejowi, że ma ranną nogę. Ugiął się pod nią i teraz to narieczona pomagała mu się pozbierać.

– Miałem zostać... no tam... na zewnątrz – zaczął Luxis przeczesując kopytem grzywę.
– Ale mnie też chyba wessało. Potem obudziłem się tu... i ona już stała nade mną. A potem wszystko... jakieś takie nijakie się zrobiło...

– Przepraszam... przepraszam was wszystkich – wychlipała Equality. – Ale to stało się samo! Okazałam się słaba... to przejęło nade mną kontrolę właściwie bez walki!

– Ale co takiego? – zapytał Snow-White. – Dotknęłaś czegoś, czy po prostu naszła ciebie myśl, że wszystkie kucyki są równe, a nawet równiejsze naraz?!

– To... wydarzyło się samo...

– Sądzę, że nie doceniliśmy artefaktu i przewidywalności Sombry – pokręcił smutno głową Wizzard. – On domyślił się, że spróbuje tutaj wparować cała grupa saperów lub po prostu intruzów. Zamiast rozproszyc kłtwę, tylko ją skłoniliśmy do skupienia się na fobii jednego z nas i wykorzystaniu jej przeciwko reszcie. To bardzo zmyślne, ale i paradoksalnie oczywiste. Jestem wam winny przeprosiny, że tego nie przewidziałem...

– Nikt nie mógł się tego spodziewać – przerwał mu Gothic. – A mimo wszystko chyba dobrze sobie poradziliśmy z tą pułapką.

– Pozostaje zatem pytanie, co teraz? – zastanowił się Snow-White. – Bo o ile rozumiem, to podejmując się naszego magiczno-heroicznego questa znaleźliśmy się w środku protoplasty wszystkich sesji RPG, o tyle wciąż nie widzę naszego głównego skarbu, który musimy znaleźć i zniszczyć.

– Skoro klątwa w nią wniknęła, to może musimy ją zabić? – zapytała Lacrimosa ze złośliwą nadzieją, obnażając kły.

– Co?! – wydyszał Wizzard, ale Starlight zasłoniła mu usta kopytkiem i powiedziała:

– Klątwa wniknęła we mnie... to może być sposób. Kochanie, jak nazywała się ta technika, której używają podmieńcy?

– To nie technika, tylko prawo magimimetyzmu. Mówi o tym, że ciało może magicznie naśladować inne ciała lub obiekty...

– Raczej pytałam, jak to się robi, mądralo. I czemu tak łatwo mi to zrobiło... to coś?!

– To raczej było uwolnienie twojego naturalnego kodu magicznego, zawartego w połączeniu właściwości ciała i duszy. Artefakt wniknął w ten kod i wykorzystał przeciwko tobie. Wychodzi na to, że Sombra wykazał się też sporą wiedzą teoretyczną.

– Nie chce wam przerywać tej nerdowskiej randki – sarknęła Lacrimosa. – Ale co do cholery z tym artefaktem? Gdzie on jest? Załatwmy go i stąd spieprzajmy, bo za koronę Luny nie mam ochoty ponownie przeżyć tego, co mi zrobiłaś przed chwilą!

– Ale Equality też padła ofiarą... – zaczął Gothic.

– Nieważne, że to było niechcący! Już nigdy nie zapomnę tego paskudnego wrażenia, że jestem totalnie nikim!

– Chyba bycie nietokucem nie dostarcza lepszych wrażeń na co dzień, co nie? – odgryzła się Starlight, a wtedy Sunburst musiał zainterweniować i stanąć pomiędzy obydwoma klaczami.

– Przestańcie! To w ogóle nie pomaga!

– To może coś wymyśl?! – fuknęła Lacrimosa. – Bo na razie nawet nie wiemy, gdzie jesteśmy!

– Sądzę, że wiemy – zaprzeczył z satysfakcjonującą pewnością w głosie. – Wessał nas artefakt działający na zasadzie Tainu[3]. Znajdujemy się w jego wnętrzu... ojej...

Stanął jak wryty i wbił niewidzące spojrzenie przed siebie. Potem obrócił sztywno głowę jak robot i po kolei popatrzył każdemu w oczy.

– Jesteśmy... w Tainie... to znaczy, w artefakcie. Nie musimy go szukać. On... jest wszędzie dookoła.

Zatoczył koło kopytem, pokazując sklepienie powyżej. Gothic zmarkotniał.

– Czy to znaczy, że musielibyśmy zburzyć tę katedrę, aby przełamać czar?

– Tak... to chyba jedyne, co wydaje mi się teraz w miarę pewne.

– „Chyba w miarę pewne”. Psiakrew! – zaklęła Lacrimosa. – Rozwiąłeś wszystkie moje wątpliwości!

– Jest znany w literaturze przypadek zniszczenia Tainu – odpowiedział ogier niewzruszonym tonem. – Lecz wymagało to poświęcenia grupy czarodziejów, którzy rozsadzili artefakt od środka, samemu przy okazji ginąc. Tain rządzi się innymi prawami fizyki i w zależności od mocy zaklinacza, który go stworzył, może nawet te prawa zaginać. Zaklęcia nieszkodliwe w świecie macierzystym... to jest zewnętrznym... tutaj mogą być śmiertelne i odwrotnie!

Snow-White wytrzeszczył oczy i je przetarł oraz ostentacyjnie zagwizdał. Najbardziej jednak tą wiadomością zaaferowała się fioletowa klacz.

Equality cofnęła się o kilka kroków i zmrużyła oczy.

– Wiem, jak to zrobić. Będę jednak do tego potrzebowała czyjejś siły... najlepiej twojej! – wskazała na milczącego od dłuższego czasu Luxisa. Chłopak podskoczył przerażony.

– Ja?! Ale jak to?! Przecież nie jestem nawet jednorożcem!

– Idealnie! Mój pomysł przewiduje oprócz użycia wyrafinowanego magicznego wytrychu w stylu Wizzarda... też sporo brutalnej siły. Kuc ziemski to idealna pomoc. Ty masz pewnie w jednym kopycie więcej pary niż ja w czterech!

Wizzard popatrzył na nią znad okularów, jakby w głowie coś obliczając. Po chwili pokiwał głową i powiedział:

– Chyba wiem, do czego zmierzasz. Skąd twoje pytanie o mimetyzm i teraz... To dobry pomysł, ale potrzebujemy też jakiejś drogi ucieczki.

– Artefakt skupia się na jednej osobie, pewnie najsilniejszej. Pierwszy z nas, który go dotknął swoim zaklęciem to Wizzard jako lider grupy, ale wygląda na to, że póki co stało między nimi na pacie. Ja jestem następna i teraz ja zacznę go atakować. Zatem pozostałe osoby będą mogły uciec, kiedy ja będę go niszczyła. Skoro to jest obiekt typu Tain, to wystarczy zrobić odpowiednią wyrwę. Dacie radę zbiec z przewodnictwem tego tu! – wskazała na Wizzarda.

– Myślałem nad tym – odpowiedział ogier. – Nie mówiłem, gdyż zostaje jeden nierozwiązywalny problem. Jedna osoba musi zostać, a unicestwiając ostatecznie artefakt od środka, unicestwi też siebie.

Equality popatrzyła mu prosto w oczy, tak głęboko, jak jeszcze nigdy przedtem. A potem objęła go mocno i nic nie mówiąc ponownie pocałowała. Tym razem był to zupełnie inny gest niż jakkolwiek wyraz wdzięczności lub zwykłego uczucia. Sunburst zamykając oczy odczytał najdłuższe i najbardziej kwieciste wyznane miłości, jakie kiedykolwiek mu złożyła.

Patrzyli i czekali. Wydawało się, że wszystko zostało powiedziane, choć nie padło ani jedno słowo. Nawet jak odstąpili od siebie ustami, to nadal trwali w objęciu lub dotykali szpicami rogów, przez które przeskakiwały małe iskierki i błyskawice. Tak jednorożce wymieniały bardzo intymne uczucia i myśli. Nawet zniecierpliwiona Lacrimosa nie odważyła się przerwać tego pożegnania.

Zrobił to Sunburst.

– Co my robimy?! – odchylił głowę do tyłu, aby spojrzeć żonie w oczy. – Nigdy nie zgodzę się, abys się poświęciła! Za żadne skarby Canterlotu! Nie zgadzam się!

– To obiecujemy sobie, że zrobimy wszystko, aby ciebie pociągnąć za sobą! – powiedział stanowczo Gothic, a White mu przytaknął głową. – Choć osobiście żywię obawy, że dla nas wszystkich los jest przesądzony. Obojętnie tutaj, czy na zewnątrz.

Potrzebowali chwili, aby oswoić się z ofiarą jaka wymagała misja, lecz nie mieli kontrargumentacji. Dlatego ustawili się w kręgu zgodnie z instrukcją Equality, która podeszła do Luxisa i przyłożyła róg do jego czoła.

– Wystarczy, że mocno zapragniesz mi oddać swą siłę. A wtedy ja będę mogła ją odebrać – powiedziała i aktywowała róg. Przez chwilę jeszcze się wahał, ale nie było czasu na wątpliwości. Nagle poczuł dreszcz przechodzący przez całe ciało i napływającą po nim senność. Błogi spokój rozchodził się po wszystkich żyłach, a razem z nim pewna irytująca bezsilność. Osunął się na ziemię i zmrużył oczy, ledwo powstrzymując od zaśnięcia. Jego włosy oklapły, sierść poszarzała, a znaczek stał ledwo widoczny. Za to Equality...

– Tylko go nie ukatrup! – przestraszył się Snow-White, ale Equality i tak go nie słyszała.

Starlight bardzo szybko się zmieniała, a jej ciało zabłyszczało oślepiająco. Kończyny wydłużyły się i poszerzyły, choć i tak to nic w porównaniu z korpusem, który rósł trzy metry na sekundę. Włosy znikły, a zamiast nich pojawiły się ostre i sterczące łuski. Nos i usta wyciągnęły się na kształt krokodylego pysku, a z kopyt wyrosły ogromne pazury. Minęła chwila i stali w cieniu średniej wielkości smoka o smukłej, typowo gekoniej sylwetce, szeroko rozstawionych palcach i długim jak reszta ciała ogonie. Popatrzyła na nich z góry i uśmiechnęła się drapieżnie, niczym antagonistą z komiksu.

Pozostały w niej dwie kucykowe cechy. Na udach łuski miały inne kolory, tworząc mozaikę podobną do jej znaczka. A także zamiast parzystej liczby rogów, posiadała tylko jeden i długi, na samym środku czoła, będący typową jednorożcową śrubą. Poza tymi szczegółami, całkowicie była bezskrzydłym smokiem takim jak Spike, tylko kilka razy większym!

– Sombra nie wiedział, jak potężną broń zostawił na wierzchu i nawet jej nie zabezpieczył – powiedziała głośnym i potężnym tonem, choć wciąż podobnym do swojego tembru. Po prostu brzmiała, jakby mówiła do mikrofonu i wzmacniacza. Popatrzyła na swoje pazury, rozpostarła je na całą szerokość i zacisnęła, sprawdzając swoją siłę. – Chyba każdy kucyk chociaż raz marzył o zostaniu smokiem!

– Ja w sumie zawsze miałem inne marzenie... – wypalił zaskoczony Snow-White, nie wiedząc jak skomentować to, co właśnie widział.

– Nie ma problemu! Mogę teraz po prostu wszystko!

Pochyliła się nad nim i delikatnie objęła go dłonią. Mieścił się w niej praktycznie cały, lecz starała się go nie zgnieść. Aktywowała róg, który zabłyszczał dokładnie tak, jak u zwykłego jednorożca.

Ciało Snow-White'a zaczęło zmieniać się jeszcze szybciej, niż jej. Jego biała sierść przestała być taka nieskazitelna, a zyskała różne monochromatyczne maskujące przebarwienia, odcienie szarości i gradienty poddane desaturacji. Kończyny zyskały kilka centymetrów, a korpus wyszczuplał. Kopyta skryły się za sięgającymi stawów skokowych puchatymi szczotkami pęciniowymi, podobnymi do nowego zakończenia dłuższego ogona i lwiej grzywy. Pospieszenie zlustrował wzrokiem swoje nowe proporcje zamieniające go w rzadki przypadek stołka barowego w świecie zaludnionym przez taborety. Sądząc po wyrazie twarzy, był jak dziecko, któremu wszystkie podarki na wigilię serdeczności jakie mógł dostać do końca swego życia, wręczono raz a dobrze awansem, skumulowane w jeden duży prezent. Gdy ich spojrzenia się spotkały, dostrzegła w jego oczach blask jakiego nie miały od wielu miesięcy. Choć na co dzień się czubili, to jednak w głębi zawsze szanowali się za posiadanie przekonań i snów na przekór światu. A teraz tak trwali smoczyca i śniegoróżec w jej garści. Scena jak zupełnie innej bajki.

– Teraz jesteś jak prawdziwy Snow-White z twojej książki – obwieściła z satysfakcją Equality i opuściła go na ziemi. – Koniec z równością! To jest mrzonka, to jest mit! Kto jeszcze chce spełnić swoje indywidualne marzenie?!

– Dość, Starlight! – powstrzymał ją Sunburst. – Nie możesz marnować mocy i swej siły na zabawę! Pamiętaj, że ty nie jesteś smokiem, tylko korzystając z obniżonego oporu magicznego tego miejsca... udajesz smoka! Zatem kto wie, ile siły będziesz musiała zachować na potem?!

– Jesteś pewien, że nie chcesz skorzystać z okazji? – mrugnęła do niego uwodzicielsko, lecz wywołała tym tylko oburzenie.

– Nie, do cholery! I nawet nie wiemy, jakie będą konsekwencje tych transformacji po powrocie do naszej skali!

– Zakładając oczywiście, że uda nam się wrócić – przerwał mu White, oglądając nowe proporcje ciała i próbując się do nich przyzwyczaić, na zmianę robiąc bocianie kroki i machając sobie przed pyskiem kopytkami do których właśnie przypięto mu futrzane pomponiki. – Mi to się podoba i absolutnie, totalnie nie chcę, aby Equality to cofała. Nawet za cenę konieczności chodzenia do końca życia jak... łoś po bagnie! – Zwarzywszy, że kopyta miał teraz rozdwojone, było to trafne porównanie. Gothic w milczeniu stoika próbował nie wybuchnąć śmiechem widząc mieszaninę głupawki, natchnienia i samozachwyty nad własną kudłatością, jaka zawładnęła jego starym przyjacielem.

Jak Celestia może chodzić na tak długich nogach? Albo tańczyć? – pomyślał Snow-White, z trudem artykułując myśli.

– Dobrze! Skoro mamy jakąkolwiek nadzieję na wydostanie się z tego więzienia, to spróbujmy zatem podjąć jakiegokolwiek... kroki... – zająknął się widząc dalsze nieudolne próby White aby chodzić płynnie. – Musimy wrócić na górę. Mam nadzieję, kochanie, że zmieścisz się na schodach.

– Odsuńcie się, moje małe kucyki! – zachichotała i odsunęła całą grupę delikatnym machnięciem ogona. A wtedy nabrała powietrza i zionęła ogniem prosto nad swoją głowę. Kamień od temperatury i fali uderzeniowej popękał, a po chwili sklepienie zawaliło się z ogłuszającym rumorem. Wzbiła się chmura pyłu i odłamków cegieł, które skryły w sobie wszystkich, nawet smoka. Co ciekawe, przez wszystko przebijały się mniejsze i większe wyładowania elektryczne. Kiedy cegła uderzała o inną, to z trzaskiem kończyły żywot, niczym rozbite baterie. Equality nie przerwała dzieła zniszczenia. Wyprężyła się i chwyciwszy brzeg posadzki z wyższego piętra, zawiesiła się na rancie całym ciężarem. Doprowadziło to do pęknięcia i runięcia w dół kolejnej partii krypty. Kilkoma ruchami ułożyła z nich hałdę dość wysoką, aby bezskrzydłe kucyki mogły wspiąć się na górę. Gothic wziął na grzbiet półprzysłomnego Luxisa. Wskoczyła tam, a za nią podążyła reszta, choć Lacrimosa wolała po prostu podlecieć.

– Opamiętaj się! – krzyknął na nią coraz bardziej zestresowany Wizzard, a ona wyprężyła się jak zaskoczona czapla, biorąc już zamach by kontynuować dzieło burzenia na górnym poziomie.

– Ale... czy nie mówiłeś?!

– Mówiłem, że musimy to zniszczyć, ale nie dajecie mi dokończyć! Czy to naprawdę takie trudne a chwilę usiąść i pozwolić wypowiedzieć się komuś, kto coś wie?!

Zatrzymał się w połowie słowa, a potem machnął rannym kopytem, krzywiąc się z bólu. Musiało go to jednak nieco ocucić.

– Ech... przepraszam. Chciałem dodać jeszcze tylko jedno. Że każdy Tain ma swoje miejsce, w których zaczyna i kończy się jego konstrukcja. To taki szew... tak jakby. Jest on nazywany „krytycznym punktem”[4], gdyż wystarczy tam niewielka siła, aby doszło do całkowitego rozbicia artefaktu i jego anihilacji! Jakby to był ten punkt – wskazał dziurę, przez którą przeszli – to już byśmy byli pojedynczymi atomami o skróconym czasie połowicznego rozpadu!

– O... cholera... – Equality dostała czkawki. Poruszyła wielką, długą łapą i pod jej ciężarem nieco zapadł się kolejny fragment posadzki. – To ja już w ogóle się stąd nie ruszę!

– Jak znajdziemy ten punkt? – spytał Luxis, odzyskawszy odrobinę swoje siły i nawet stając samodzielnie na własnych nogach.

– Nie sądzę, aby to było tak nierozsądne miejsce jak podłoga, choć dwudziestopięcotonowy smok może faktycznie być czymś, na co ten Tain nie został obliczony.

Equality uśmiechnęła się przepaszająco, ale milczała.

– Jednak te wyładowania magiczne świadczyły, że to raczej blisko.

– Sombra pochodzi z epoki, kiedy jeszcze nie myślano o konspiracji własnych celów i działań w taki sposób, jak współcześnie – stwierdził Snow-White wyprężając się na swoją niemalże alicornią wysokość ciała. – Raczej spodziewałbym się, że rozpoczął budowę tego obiektu od jakiegoś charakterystycznego miejsca, najlepiej nobliwego.

– To dobry trop... – przyznał Wizzard.

– Mógł użyć go jako wiery. Ale co to mogłoby być?

Po tej sugestii Wizzard nie potrzebował już niczego więcej. Obrócił głowę i uczynił kilka kroków, aby podejść do zbezczeszczonego ołtarza. Ten wyglądał całkiem zwyczajnie i był ruchomy, o czym przekonał się wcześniej. Ale ogier podniósł wzrok i przyjrzał się ponownie jednemu, jedynemu zachowanemu witrażowi tej katedry, który przedstawiał przerażoną Twilight Sparkle otoczoną przez zielony krąg ognia czarnej magii, a nad nią wisiał złowrogi, wyszczerzony i pełen klów pysk samego imperatora.

Czarodziej podszedł jeszcze bliżej. Próbował wspiąć się na podstawę ostrołukowego okna, ale było za wysoko. Wtedy Equality zignorowała swoją deklarację sprzed sekundy, że już nigdy się nie ruszy i w trzech krokach podskoczyła do niego, aż zatrzęsała się ziemia i kolejny fragment posadzki się oberwał. Chwyciła delikatnie narzeczonego i podniosła do góry. Był dla niej teraz niczym mysz albo szczur laboratoryjny, zupełnie bez ciężaru.

Będąc na wysokości rozety, w której znajdował się wizerunek czarnoksiężnika, Wizzard dokładnie obejrzał szybkę, opukał ją rogiem i kopytem, a potem obwieścił:

– To może wydać się przewrotne, ale to ten kolorowy witraż jest chyba tym punktem. Sombra stworzył go, aby móc później napawać się swoją nienawiścią do Twilight Sparkle i z niej czerpać moc do dalszej pracy. To sprytne.

– Ale witraż to chyba dość delikatna rzecz. Łatwo go stłuc choćby przypadkiem.

– Niekoniecznie. Kojarzycie witraże z sali tronowej w Canterlocie? To najsolidniejsze fragmenty całej konstrukcji, gdyż obłożono je potężnym pancerzem magicznym. Tu jest podobnie. Nie da się tego stłuc zwykłym młotkiem. Do tego potrzeba...

– Dwudziestopięciotonowego smoka! – ucieszyła się Equality.

Wizzard pokiwał głową uśmiechając się.

– Sądzę też, że to będzie również wejście. Krytyczny punkt jest naturalnym początkiem, a więc wejściem do Tainu. Jednak większość zaklinaczy w historii magii wolała rozdzielać te miejsca, aby unikać wypadku i budowała zupełnie osobno inne przejście. Tutaj mamy jednak do czynienia z czymś na kształt więzienia. Sombra pewnie spodziewał się, że potencjalny więzień będzie szturmował wyjścia z katedry. Nieskutecznie, gdyż tam nic nie ma. Nie wpadnie na to, aby spróbować witrażem.

– To jaki jest plan?

Wizzard aktywował róg i wystrzelił z niego wijący się w powietrzu promień. Złota linia zmieniła się w cumę, które otoczyła każdego z nich i zacisnęła się na jego ogonie, nawet na smoczym.

– Zaraz otworzę portal, włamując się do struktury tego zaklęcia. Wtedy Equality nas podniesie i wepchnie w niego. Natychmiast po tym sama spróbuj do niego wejść, równocześnie strzelając ogniem w okno, aby je zniszczyć. Sądzę, że będzie ekstremalnie mało czasu, aby to wszystko zadziało.

– To nie ma prawa się udać! – zaprzeczyła smoczyca. – Niszcząc witraż zniszczę portal i tym samym waszą drogę ucieczki, nie mówiąc o swojej.

– Ten Tain jest zbudowany z kryształów z Kryształowego Imperium. To doskonałe kondensatory, który utrzymają zaklęcia przez wystarczająco długi czas, aby móc się ewakuować. Sądzę, że na tym oparł swój pomysł sam Sombra. Musiał zostawić sobie awaryjną możliwość zniszczenia artefaktu i bezpiecznej ewakuacji nim nastąpi jego kolaps i implozja.

– Zaraz. Najpierw mówisz, że to będzie krótka chwila, potem długa.

– Ech... długa w skali rozrywania zaklęć, ale krótka w naszej skali. Czy chcesz, abym ci to rozrysował na wykresie?

– Nie! – ryknęła, na chwilę zapominając o swoich aktualnych rozmiarach i ogłuszając Sunbursta. – Darumy to sobie! Jak przeżyjemy, to zrobisz na ten temat wykład na uniwersytecie i na pewno na niego wszyscy przyjdziemy, czy tak?! – popatrzyła z góry na stojące u jej stóp kucyki, które pokiwały głowami.

Wizzard kazał podnieść siebie bliżej jej ucha. Wy tłumaczył, jakie czynności ma podjąć i w jakiej kolejności, a kiedy upewnił się, że dobrze zapamiętała, to skupił się i aktywował róg o wiele mocniej, niż wcześniej. Z jego szpica wysunęła się kolejna lina, bardzo szybko zmieniająca kształt w złoty, potężny klucz ze znaczkiem Celestii na piórze. Rozświetlony złotym blaskiem przedmiot dotknął Twilight na witrażu, a ta przebudziła się i poruszyła. Odskoczyła na bok, ukazując mieniącą się kolorami tęczy tarczę portalu. Snow-White był pewien, że ten efekt to inwencja samego Wizzarda i jego wiery, ale nie powiedział tego na głos, aby nie rozpraszać czarodzieja. Sunburst koncentrował się z całych sił, o czym świadczył wysunięty język i pot obficie zraszający jego oblicze.

Twilight na witrażu znowu się poruszyła i aktywowała swój róg, a portal powiększył się parokrotnie.

– Teraz! Wrzuć nas!

Equality wrzuciła go do portalu, a potem resztę powiązanych kucyków. Kiedy ostatni z nich, czyli Luxis, zniknął w jasności, nagle poruszył się też Sombra ze szczytu portalu. Rzucił się na Twilight, otwierając szeroko paszczę, aby ją pożreć.

– NIE!

Equality nabrała powietrza i zionęła ogniem prosto w sam środek oblicza czarnoksiężnika. A następnie nie czekając sama odbiła się od posadzki i zanurkowała w chmurę płomieni, które ogarnęły cały portal.

*

Nic nie widziała. Odbiła się od czegoś twardego, wybijając sobie ząb. Poturlała się dalej i zatrzymała na czymś płaskim i miękkim. Zakaszła i poczuła, jak cała twarz zaplula sobie czymś lepkiem i ciepłym, a więc chyba krwią.

– Moja noga! – ktoś krzyknął obok. Ledwo poznała głos Luxisa.

Dosłownie sekundę później za jej grzbietem coś eksplodowało, jakby gigantyczny kryształowy zyrandol, w którym każda cząstka w tej samej chwili została trafiona kulą. Brzęk był tak ogłuszający, że leżała sparaliżowana nawet w chwili, gdy jej ciało zasypała zamieć szklanych odłamków. Wbijały się w skórę i tworzyły setki malutkich zadrapań, niczym rój wyjątkowo agresywnych komarów. Przez krótką chwilę słyszała tylko echa huku niknące w kilku sekundach piszczącej ciszy bolących bębenków w uszach.

– Moja noga strasznie boli! Luno, Celestio! – dalej słyszała dramatyczny głos Luxisa, który urwał się w pół oddechu.

– Nic strasznego, jest tylko złamana! – odezwał się inny, kobiecy głos, brzmiący opiekuńczo. To chyba była sanitariuszka. Chyba po chwili zdała sobie sprawę, że chłopak przestał odpowiadać i tylko charczy, gdyż jęknęła „O Luno” i pobiegła po pomoc. Equalisty bardzo chciały zobaczyć, co tam się dzieje. Być może nawet zaryzykować i skorzystać ze swojej mocy, aby go uzdrowić, lecz nie mogła wykonać żadnego ruchu. Jej zeszytywniałe ciało nie nadawało się do niczego.

Zbierała siły, a w tym czasie chyba ktoś przyszedł z noszami, gdyż usłyszała kilka charakterystycznych komend oraz stwierdzenie, że „jego oddech jest bardzo słaby”. Wszelki głos Luxisa zaniknął.

W końcu Equality otworzyła oczy i ujrzała pod sobą materac, na którym pierwotnie miała pograć się w transie. Obrócenie głowy wiązało się z potwornym cierpieniem, ale dzięki temu dojrzała wspinającego się na własne nogi Wizzarda, któremu pomagał jakiś nieznany jej powstaniec w opasce.

A więc udało się!

Oboje przeżyli!

– Twoja noga też jest wygięta pod niewłaściwym kątem – zauważyła ta sama sanitariuszka, ale Wizzard prychnął tylko i pokuśtykał do swojej narzeczonej. Chciał ją przytulić, ale syknęła.

– Coś... mam na grzbiecie...

– O rany! Cały grzbiet... cała jesteś w odłamkach Tainu! Potrzebujemy jednoroźca! Medyka-jednoroźca!

– I to dlatego tak piecze?

– Masz też rozległe oparzenia... ale to i tak się zagoi! Udało ci się! Najwidoczniej artefakt skupił się na ataku na smoka, którego zabił. Ale kucyk w jego wnętrzu przetrwał!

– Czemu jak teraz to mówisz, to wydaje się to takie proste... Au! – zajęczała, ale widząc przerażenie w jego oczach zebrała się w sobie i przemogła, aby dokończyć zdanie. – A wtedy w środku nic nie rozumiałam z tego, co do mnie gadałeś.

– Jak to?! Przecież potwierdzałaś, że mój plan jest dla ciebie zrozumiały!

– No... trochę był. Ale generalnie to poszłam na żywioł... jak jakiś pegaz, haha! – zarzęziła, próbując się zaśmiać. – A właśnie! A propos pegazów. Gdzie White? I reszta?

– Poza tym młodym Luxisem, to chyba wyszli zupełnie bez szwanku... jak widzę... choć w przypadku White'a spełniłaś jego o wiele głębsze marzenie, niż sądziliśmy!

Usłyszała dziwnie cichy i jakby klaszczący odgłos kopyt i w jej polu widzenia znalazł się ten dziwny jakby śniego-kucyk, w aureoli niesfornych kudłów, którego wyczarowała wcześniej. Pomimo ucieczki z Tainu nic się nie zmienił!

– Nie wiem, jak to się stało, ale czuję się cudownie jak nigdy w życiu! Jak...

– ...jednorożec będący trochę pegazem? – sarknęła Equality, a potem zmarkotniała. – Zaraz! Czy te odłamki magiczne, przez które nie mogę teraz drapać się po plecach... to nie są jakieś napromieniowane czy coś?

– Nie sądzę – uspokoił ją narzeczony. – W chwili naruszenia struktury tego artefaktu... i to od wewnątrz... tego magicznego wewnątrz... cały ładunek się rozproszył. Żałuję, że nie ustawiliśmy żadnej kamery, która by to uwieczniła. To musiało wspaniale i pouczająco wyglądać.

Zachichotała i pozwoliła mu kucnąć obok siebie i pocałować się w same usta. Potem otarli się czołami i tak trwali aż do przyjścia większej drużyny medycznej.

*

12 kwietnia 1272

Las Oliv, Oakmill Town, 70 km od Fillydelphii

Z okna domku przystosowanego na jej tymczasową siedzibę mogła z wielką satysfakcją obserwować malowanie pojazdów. Na transporterach, czołgach i nawet ciężarówkach wszędzie wiły się długie, syrenie ogony i szczyrzyły wielkie paszcze. Choć niektóre malunki były dość naiwne i niezbyt artystyczne, to niektórzy żołnierze objawili prawdziwe talenty. Mieszanina stylów nowoczesnych, wschodnich, lokalnych, wielkoequestriańskich, ponyckich, czy wszelkich innych antycznych uczyniła z Kampfgruppe Siren najbardziej malarską jednostką chyba w całej historii. O ile wcześniej zaledwie część czołgów doczekała się ochrzczenia, to teraz wszystkie otrzymały nazwy. Dało się dostrzec runy hestyjskie, ferdyjski gotyk czy nawet hieroglify ze wszystkich stron świata. Dominowały nazwy jak najstraszniejszych potworów, istniejących lub mitologicznych. Od darkstallionów przez podmieńce, shatty, windigos i sfinksy, po smoki ze strzygoniami. Wyglądało to jak najbardziej zmilitaryzowana Noc Koszmarów w historii sztuki.

Sunny Farewell przyszła z jakimś meldunkiem. Blackpool od niechcenia zajrzała do niego i natychmiast zaświeciły się jej oczy. Wezwała kwatermistrza, a po chwili namysłu jeszcze kapitana Corsaira. Kiedy oba ogiery stanęły przed nią, pokazała im meldunek i oznajmiła:

– Na stacji w Proust, zaledwie trzy kilometry stąd, w ciągu godziny ma pojawić się pociąg z dostawą broni pancernej. Sześć Tygrysów, dwie panzer czwórki, Hummel, Wirbelwind i jedenaście ciężarówek. Zgromadźcie kierowców, udajcie się z nimi na stację. Macie zatrzymać ten pociąg i przejąć ładunek.

Pegaz z batalionu przeciwpancernego wytrzeszczył oczy.

– Pani szanowna, to chyba nie w stylu pani major, którą znam.

– Musimy tak zrobić, aby zyskać odpowiednią siłę do jutrzejszego uderzenia!

Ta informacja zelektryzowała ich jeszcze bardziej. Popatrzyli po sobie i pokiwali głowami, nareszcie rozumiejąc ostatnie wypadki.

– A więc... koniec przerwy i wracamy do akcji? – uśmiechnął się Corsair.

– Dokładnie, kapitanie. Dokładnie.

– A czy nie powinniśmy obawiać się reakcji adresata tego ładunku? – zapytał Sugarcanny.

– Nie. Mamy protekcję i polecenie kogoś o wiele ważniejszego, od prawdopodobnie pogrążonego w niełasce Königstigra!

Oba ogiery zgodnie przyznały, że jeszcze nigdy nie widziały szelmowskiego uśmiechu na twarzy Blackpool. Nie sądziły, że to jest w ogóle fizycznie możliwe.

*

12 kwietnia 1272

Starówka

18:00

– Śmiesznie tak wyglądasz, kuśtykając w tych swoich skarpetkach – zachichotała Equality. – Jakbyś faktycznie miał na jednym kopytku mokrą skarpetkę i nie chciał zostawiać mokrych śladów na podłodze.

Wizzard zaśmiał się, ale chyba bardziej z grzeczności. Podpierając się na drewnianej kuli, pospiesznie zbitej z deszczulek, faktycznie sprawiał komediowe wrażenie. Klacz próbowała go jakoś wesprzeć ramieniem, ale odmówił. Krzywiąc się, postępując i czasem cicho kląć przedzierał się przez zasypaną gruzem ścieżkę wydeptaną poprzez środek zrównanych z ziemią kamienic. Otaczały ich nie wyższe niż parę metrów szczątki ścian, bez kolorów, bez konturów. Nie dało się nawet poznać, czy były to mieszkania, czy jakieś pomieszczenia gospodarcze. W totalnej mieszaneczce śmieci, cegieł, dachówek i porąbanych desek sporadycznie dało się dostrzec cały mebel, obraz lub przysypane zwłoki, którymi nikt jeszcze nie zdążył się zająć. Zresztą, nie było czego z nimi zrobić. Na pogrzeby już nikt nie miał sił, a każdą wolną przestrzeń skwerów, podwórek i klombów, gdzie dało się wbić łopatę, już zajęto grobami. W ziemi chowano wszystkie rasy, niezależnie od tradycji. Ryzyko wybuchu epidemii było zbyt duże, aby czekać na

kremację pegazów i jednorożców, do której potrzebne były albo specjalne drewno i oleje, albo potężne zaklęcia.

Spacerując starali się tym nie przejmować. Celowo nie wybrali nieco wygodniejszej drogi ulicą, gdyż tam mijaliby zbyt wiele osób próbujących spojrzeć im w oczy. Niektórzy szukaliby pomocy u dwóch osób w opaskach. Inne może by je rozpoznały i zagały. Nie, to nie był czas dla obcych. Teraz chcieli w końcu mieć chwilę tylko dla siebie.

Milczeli i wędrowali dalej. Krok za krokiem, w tempie kuśtykania Wizzarda. Equality nie proponowała swojej pomocy uzdrowicielskiej, gdyż sama nie miała dość zaufania do własnej magii. I to pomimo pewnych sukcesów przy ratowaniu tamtego harcerza. Nie знаła odpowiednich technik, a profesjonalni uzdrowiciele mieli pełne kopyta roboty przy prawdziwie ciężko rannych. Zresztą, znając swego męża, podejrzewała, że ogier posiadając swoją wiedzę o konsekwencjach i ryzyku magicznych operacji by się na to nie zdecydował.

Nie zdecydowała się też pomóc Luxisowi, którego stan okazał się dość ciężki. Oficer odpowiedzialny za szpital odpowiedział, że pomoc niewykwalifikowanych uzdrowicieli to jeszcze większe niebezpieczeństwo od bomby szturmowika. Zapewnił ich, że „ich młody pomocnik jest w najlepszych kopytach, jakie jeszcze pozostały w umierającym mieście”. Equality to zupełnie nie przekonało, szczególnie ubrane w takie słowa.

Nie chciała jednak tym się zadręczać, przygnieciona własnymi doświadczeniami z ostatnich godzin. Dlatego jedynie poprosiła o przekazanie Luxisowi pozdrowień i gratulacji od niej, a potem poszła po narzeczonego. Wszystkie sale zabiegowe były oczywiście zapchane rannymi, więc naprostowanie nogi i jej usztywnienie miało miejsce na korytarzu. Nie wykryto żadnych trwałych uszkodzeń lub magicznych perturbacji, więc nie podjęto się żadnej operacji.

Widząc cierpiące oblicze ogiera zapomniała o innych troskach. Pokręciła głową i zabrała go ze szpitala, chcąc w końcu znaleźć razem trochę prywatności. Przechodząc, natknęła się na Gothica podającego White’owi kubek czegoś ciepłego. Ten siedział w kącie pokoju wymęczony, milczący i zamyślony z kocem narzuconym na głowę. Pod opieką przyjaciela widać dochodził do siebie, po tym jak go trwale zmutowało. Przyznała w duchu, że gdy zeszły z niego adrenalina oraz wszystkie endorfiny i tak sobie po prostu dumał nad parującym napitkiem, faktycznie miał w sobie coś majestatu jakiejś dziwnej pradawnej istoty. Wtedy jakby wyczuwając jej spojrzenie, w półcieniu pomieszczenia dwa jarzące się błękitem punkty jego oczu spoczęły na niej, po czym po chwili pokłoniły się jej z wdzięcznością i szacunkiem. Equality rozejrzała się raz jeszcze po pokoju ale Neli nie znalazła, choć ta pewnie też zaszyła się w jakimś jeszcze ciemniejszym miejscu. Czarodziejka uznała, że tego potrzebowali wszyscy. Chwili wytchnienia.

Idąc w milczeniu dotarli niespodziewanie do pomnika Meadow Brook, który szczęśliwie ocalał, choć odłamki i kule go uszkodziły w kilku miejscach, nadając kombatanckiego sznytu. Spiżowa klacz ze wzruszającą troską w wyrazie twarzy pochylała się nad pustą plamą krwi. Zakochani stali przez chwilę i kontemplowali symbolikę tego kadru. Była bardzo gorzka, obrzydliwie prawdziwa.

Pustka i cisza koily udręczone nerwy. Może kilkanaście ulic dalej, właśnie padały sporadyczne pociski artyleryjskie, ale nie zwracali na to uwagi. Już zdążyli się nauczyć, że powstanie zmniejszyło skalę ich świata i wydarzenia mające miejsce pośród ruin sąsiedniego kwartału to właściwie inny kraj.

Minęli barykadę, z której rozpościerał się widok na szerokie aleje, gdzie stały zniszczone czołgi. Ciała stąd sprzątnięto, lecz nie miliardy porozrzucanych cegieł i kolejnych kawałków gruzu. Przerazały też martwe latarnie, nierzadko pogięte lub wyrwane z mocowań. Nie należało się spodziewać, że jeszcze kiedykolwiek zapłoną. W żadnej nie ocalał klosz, czy cokolwiek szklanego.

Pod jedną z nieco lepiej zachowanych stała żeliwna ławka, w którą musiało uderzyć coś ostrego, wrywając jedno oparcie. Mimo to nadal spełniała swoją rolę, więc kucyki przysiadły na niej i przytuliły się do siebie. Milczeli na zmianę. Czasem Equality zapiszczała jak kot, czasem on zamruczał. Kopytem gładził jej nogi, napawając się ich gładkością i smukłym pięknem. Uwielbiał ten kontrast delikatnego, kruchego ciała, które nosiło w sobie niepowszedni charakter, ostry temperament, skarbiec odwagi i tę tytaniczną moc magiczną, przy której czuł się mały jak źrebię. Za to ona rozczulała się wtulając w jego mięśnie i brzuch, bawiąc oczy specyficznym umaszczeniem, tymi ogromnymi okularami i bródką, którą lubiła mierzwić kopytem. Kochała ten kontrast łagodnego, rozważnego jednorożca z prawdziwie męską posturą.

– Żałuję, że nie jestem poetą – powiedział nieoczekiwanie, przerywając słowną pustkę.

– Dlaczego? – zapytała miękkiem głosem.

– Chciałbym powiedzieć to w o wiele bardziej kwiecisty, rozbudowany sposób. Ale nie umiem. Wybacz proszę.

– Ale... co takiego?

– Kocham cię, Starlight Glimmer.

– Ja ciebie też Sunburst. Najsilniej, jak tylko potrafię.

– Tak chciałbym, abyśmy byli małżeństwem. Choćby teraz. Ale nie mam obrączek.

– Przecież to głupstwo, to tylko symbol – odparła i wtuliła się w niego trochę mocniej. – Możemy jutro znaleźć jakiegoś kapelana, który odprawi ceremonię i oficera, który to zapisze. I będziemy razem. Już na zawsze. Nieważne, co jeszcze nam się przytrafi.

– Naprawdę tego chcesz?

– Tak! Aby nikt z nas nie został sam... jeśli coś się stanie.

Milczeli przez chwilę, rozsmakowując się nadchodzącym wydarzeniem. Może byli zbyt zmęczeni, aby żywiołowo to przeżywać. A może woleli subtelnie uśmiechać się do własnych myśli.

Starlight zapiszczała jak kot, a potem szepnęła:

– Sunburst... uważaj na tę nogę. Pójdź może jutro do nich i poproś o ponowną diagnozę. Nie chcę, aby mój mąż został na zawsze kaleką.

– Och, dobrze, dobrze. Ja też ciebie o jedno proszę.

– O co?

– Abyś już nigdy nie była smokiem.

Zachichotali i podarowali sobie wzajemnie bardzo długi pocałunek.

Ponownie zapadła cisza, podczas której wrócili do napawania się sobą nawzajem i obserwowania zachodzącego za ruinami słońca. Nie wiedzieli kiedy ponownie będą mogli sobie pozwolić na luksus spokojnego wieczoru. Dlatego postanowili, że żaden zew obowiązku, żaden rozkaz, ani nawet wojna ich nie rozdzielią.

[1] Inspirowane słowami i melodią „Epitafium dla Jesienina” Przemysława Gintrowskiego.

[2] Miotacz ognia.

[3] Patrz pierwszy tom „Czerwona Uwertura”.

[4] Inspirowane komiksem „Rork: Fragmenty” Andréasa.